POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 24-go czerwca 1944r.* — **Rok VI. Nr. 25**

JAK POKONAĆ NIEMCÓW?

You don't just walk to Berlin, and the sooner this country realizes that the better.
Roosevelt—6 czerwca.

ZŁUDZENIA I ICH ŹRÓDŁA

W chwili rozpoczęcia nowego, oby ostatecznego etapu wojny warto przypomnieć szereg złudzeń, którym wielu polityków i pisarzy oraz wiele kół opinii międzynarodowej oddawało się w dyskusjach nad strategią obecnej rozgrywki wojennej świata z Niemcami.

Pierwszym złudzeniem było przypuszczenie, że wojnę wygra się propagandą. Nieprzygotowanie militarne Aliantów oraz to właśnie złudzenie spowodowało bombardowanie Rzeszy Niemieckiej w pierwszym okresie wojny ulotkami, z których w Niemczech — śmiano się. Drugim złudzeniem było przypuszczenie, że wojnę wygra się blokadą i politycznym odosobnieniem Niemiec. Niemcy odpowiedzieli na to zaciśnięciem żelaznej obręczy, spajającej Europę bezwzględnie, brutalnie, ale dla nich z sukcesem — w jedność wytwórczą i polityczną. Trzecim złudzeniem stało się mniemanie, że obali Niemcy byle mocniejszy szturchaniec militarny z którejkolwiek strony kontynentu. Niemcy odpowiedzieli na to przetrzymaniem odwrotu spod Moskwy, otrząśnięciem się z klęski afrykańskiej i strawieniem kapitulacji Włoch.

Złudzenia te przeszły, jak widzimy z ich uszeregowania, dużą przemianę. Można powiedzieć, że coraz bardziej zbliżały się do świata realnego. Schodziły na ziemię. U ich źródeł tkwiła fałszywa ocena rzeczywistości niemieckiej, przypuszczenie, iż gdzieś w zaułkach niemieckiego życia są ośrodki oporu, które z chwilą niepowodzeń Hitlera i narodowego socjalizmu wyzwolą się, przyśpieszą kapitulację Niemiec i ułatwią Narodom Zjednoczonym zwycięstwo. Było to po prostu stawianie na — sprzymierzeńców wewnątrz narodu niemieckiego. Stosunkowo szybko zarzucono myśl, aby takimi sprzymierzeńcami mogły być ośrodki dawnych, wejmarskich partii. W 1942 roku myślano o opozycji generałów. W 1943 dość powszechnie wymieniano przewódców Kościołów w Niemczech.

W 1944 pozostało już tylko spekulowanie na pełne grzmotnięcie w niemiecką machinę militarnego oporu. Czy ono jedno jednak doprowadzi wreszcie do pokonania Niemców? Przed podjęciem próby odpowiedzi na to kapitalne pytanie, dotyczące rzeczywistego końca obecnego D-dnia, nie zawadzi udać się po poradę do historii.

JAK TO BYŁO W CZASIE POPRZEDNIEJ WOJNY

Najbliższy współpracownik Wilsona i House'a z Konferencji Pokojowej w Paryżu pułkownik Stefan Bonsal opublikował pamiętniki z 1919 roku. Zatytułował je, słusznie: *"Unfinished Business"* /New York 1944/. Przypomina w nich szereg ciekawych faktów.

W lipcu 1917 roku odbył się w Sztokholmie międzynarodowy kongres socjalistów, do którego przywiązywano wówczas olbrzymie znaczenie, licząc się z tym, że przyśpieszy on pokój. Na kongresie belgijski mąż stanu Emil Vandervelde oświadczył imieniem swej znękanej wojną ojczyzny:

"Jakież mogą być w tej chwili nadzieje powodzenia międzynarodowej inicjatywy pokojowej, jeżeli partia niemieckich socjalistów milczy w obliczu zbrodni, popełnianych przez armię niemiecką i usprawiedliwia barbarzyństwo wojny okrętów podwodnych?"

To stanowisko socjalistów niemieckich potwierdził jeszcze w rozmowie z Bonsalem socjalistyczny kanclerz Austrii, dr. Karl Renner. I tak właśnie świat zewnętrzny oceniał w czasie Pierwszej Wojny Światowej stanowisko socjalistów niemieckich.

Republika wejmarska rozpoczęła dni swego istnienia od ustanowienia komisji parlamentarnej dla zbadania przyczyn klęski wojny. Komisja zebrała setki ciekawych dokumentów, określających stanowisko poszczególnych niemieckich polityków i poszczególnych niemieckich partii politycznych wobec pamiętnej decyzji rządu cesarskiej Rzeszy o rozpoczęciu w 1917 roku bezwzględnej wojny okrętów podwodnych. W zbiorze tych dokumentów znalazło się także memorandum, złożone 2 stycznia 1917 roku na ręce ówczesnego kanclerza Bethmanna-Hollwega przez kierownictwo Centrum — partii niemieckich katolików. Czytamy tam:

"W sprawie odpowiedzi na pytanie czy wojna okrętów podwodnych jest konieczna, decyzja powinna być pozostawiona feldmarszałkowi Hindenburgowi. Jest naszym pragnieniem, aby kanclerz uzgodnił swe postanowienia z życzeniami feldmarszałka. Jeżeli to zrobi, będzie miał pełne poparcie naszej partii".

Było to równoznaczne z wypowiedzeniem się katolików niemieckich za wojną okrętów podwodnych i z poparciem zapędów Hindenburga oraz Tirpitza, który stał za nim.

Bonsal przypomina też rozmowę swoją z jedną z czołowych, demokratycznych postaci pierwszych okresów republiki wejmarskiej, W. Rathenauem, zamordowanym później przez nacjonalistycznych szowinistów. Rathenau z najwyższym lekceważeniem wyraził się o Polsce, o Czechosłowacji, przepowiadając, że pogrążą się one w stan pełnej anarchii i upadną, jako nieżyciowe twory Wersalu. Skończyła się tymczasem szybko właśnie Republika Wejmarska i wróciły Niemcy reakcyjne. Już w 1919 roku za plecami socjalisty Noskego, jako ministra obrony Rzeszy, działały militarystyczne kliki, czyhające na chwilę odwetu. Świat zawiódł się nie na mniejszych państwach, którym Wersal przywrócił życie; świat zawiódł się na Niemczech, które wyszły z Wersalu.

JEŃCY I — EMIGRANCI

Czego spodziewać się po Niemcach dzisiejszych? Jeńcy niemieccy brani pod Rzymem odpowiadali, że ich zawodem jest przewodzić; oni są wychowani na elitę, na "führerów". Kapelan jednego z obozów jeńców niemieckich w Stanach Zjednoczonych Maurice M. Hall pisał niedawno:

"60% jeńców niemieckich to fanatycy nazistowscy i mówienie im o nauce Chrystusa jest przekonywaniem kamiennych murów. Naziści są podstępni i usiłują często o północy w swych barakach bić a nawet linczować towarzyszy broni nie-nazistów".

Prasa niemiecka wydawana w Stanach Zjednoczonych a dziś często redagowana przez Niemców, którzy w ostatnich latach opuścili Niemcy, stoczyła całą kampanię o — dusze jeńców. Dostęp do obozów jeńców niemieckich uzyskały dwa pisma, jedno socjalistyczne *"Die Neue Volkszeitung"* a drugie komunistyczne *"The German American"*. Socjaliści zarzucają komunistom, że karmią jeńców hasłem: *"Rettet die Wehrmacht"* — ratujcie armię niemiecką. To mówi samo za siebie.

Jakąż strawę "reedukacyjną" może stanowić większość emigracyjnej prasy niemieckiej, która walczy o miejsce dla Niemiec w Europie, występuje przeciw wygórowanym odszkodowaniom i przeciw osłabieniu zdolności produkcyjnej Niemiec po wojnie, stawia Niemcy na równi z innymi? Większość tej prasy bowiem domaga się także jak najszybszego wcielenia Rzeszy Niemieckiej w system współpracy międzynarodowej, a wielu marzy o jednej federacji europejskiej — bez Wielkiej Brytanii i Rosji — w której Niemcy grałyby pierwsze skrzypce.

Ten program federacyjny rozwinął w swej ostatniej książce *"Germany after Hitler"* /New York, 1944/ jeden z najruchliwszych w tej chwili emigrantów niemieckich w Stanach Zjednoczonych Paul Hagen. Niemcy po Hitlerze wyobraża on sobie, jako państwo równe wśród równych, otrzymujące z zewnątrz wszelką pomoc, aby mogło żyć i rozwijać się. Dodajmy, że Paul Hagenowi londyńscy oponenci z *"Fight for Freedom"* zarzucają, iż jest byłym austriackim oficerem, co Hagen ukrywa, chcąc uchodzić za Niemca a nie Austriaka.

CI TAKŻE STANĘLI DO LICYTACJI

Niemcy nowożytne od stu z górą lat żyją fałszywą koncepcją polityczną o roli ich narodu w świecie. Z drogi tej koncepcji nie wybiło ich dotąd żadne zdarzenie dziejowe. Błędność tej koncepcji polega na tym, że nie da się ona pogodzić z normalnym pokojowym tętnem współżycia narodów, życia obok siebie, a nie wbrew sobie. Doprowadziła ta koncepcja od dawna do licytacji skrajnych haseł wśród przewódców społeczeństwa niemieckiego. Wilhelm II przelicytowywał Bismarcka, Hitler — Schleichera, Papena i Brueninga, Ribbentrop — Stresemanna. W licytację tę wciągani są teraz biegiem wypadków także emigranci niemieccy, wciągani tym głębiej, im wybitniejszą ktoś z nich grał rolę w Niemczech w przeszłości, względnie im ambitniejsze ma zamiary na przyszłość.

Wśród tych emigrantów jest wielu, których osobista tragedia da się w pełni porównać z przeżyciami innych Europejczyków, wyrzuconych z domu rodzinnego losem wojny i terrorem niemieckiego najazdu. I większość z nich, tak samo jak my, myśli o powrocie do swej ojczyzny. Właśnie jednak w imię tego powrotu, chcą oni wrócić — z czymś, z jakimś dorobkiem. Przecież chcą być przyjęci, chcą znowu grać jakąś polityczną rolę. Czego oczekuje od nich naród niemiecki, rozagitowany nie od dziś w swych imperialistycznych aspiracjach? Oczekuje obrony przed skutkami przegranej wojny.

Od roku 1919 do tej chwili politycy niemieccy właściwie zarzucają autorom Traktatu Wersalskiego, że nie dali oni Republice Wejmarskiej atutów do — przelicytowania Wilhelma II w hasłach narodowego dobrobytu. Oskarżają oni właściwie do tej chwili Sprzymierzonych z tamtej wojny, iż rządy wejmarskie mogły narodowi niemieckiemu stworzyć tylko gorsze możliwości politycznej egzystencji, niż te, które Niemcy mieli w okresie cesarskiej świetności. I już dziś ci sami politycy zaczęli kampanię za tym, że Sprzymierzeni z obecnej wojny powinni ofiarować Niemcom takie warunki pokoju, aby różnica między tym, czym naród niemiecki żył przed 1939 rokiem, a tym, w jakich warunkach znajdzie się po obecnej wojnie nie była zbyt wielka. Jeżeli to się nie stanie — straszą — naród niemiecki znowu będzie niezadowolony i znowu pójdzie ku skrajnościom.

Od przewódców niemieckiej emigracji politycznej można się więc było spodziewać jedynie współdziałania z Narodami Zjednoczonymi w walce z Hitlerem i narodowo-socjalistycznym reżimem. Podjęcie przez nich tej walki było proste. Wymagało odżegnania się od stosowania hitlerowskich metod. I odżegnywanie się od tych metod przez emigrantów, będących w dużej części ich ofiarami, jest szczere. Nie wydaje się jednak, aby wkład emigracji niemieckiej nawet w tę walkę był wielki. Wydała ona kupę antyhitlerowskich broszur i książek.

WOJNA Z NIEMCAMI NIETYLKO Z HITLEREM

Równocześnie jednak z tą literaturą przemyciła jedno z dalszych politycznych złudzeń obecnej wojny przyjęte przez wielu, bardzo wielu pisarzy i polityków alianckich, że Hitlera da się oderwać od przeszłości niemieckiej i że reżim hitlerowski da się oddzielić od narodu niemieckiego. Umocniła tym przekonanie niejednych, że walka o przyszłość Europy kończy się z chwilą, gdy Hitler ustąpi i Niemcy, jego Niemcy skapitulują, co oczywiście jest wyraźnym nonsensem.

Celem obecnej wojny z Niemcami nie jest ani ustąpienie Hitlera, celem jej nawet nie jest bezwarunkowa kapitulacja Niemiec. Celem jest to, aby Niemcy znowu za parę lat nie stały się zarzewiem nowego, zbrojnego zatargu. Walka o ten cel nie będzie miała emigrantów politycznych z Niemiec po stronie Narodów Zjednoczonych. Cel ten da się bowiem osiągnąć tylko przez bardzo twarde i ostre przecięcie możliwości powrotu Niemiec na drogę urzeczywistniania ich dotychczasowych poglądów politycznych. Żaden poważny przewódca emigracji niemieckiej do tego ręki nie przyłoży. Raz, bo nie miałby potem poco pokazywać się w Niemczech. Dwa, że wielu z nich w pełni uznaje historyczną koncepcję polityczną Niemiec nowożytnych.

Sytuacja mogłaby odwrócić się radykalnie, gdyby w samych Niemczech następowały pod wpływem wojny jakieś głębokie przemiany. Emigracja poszłaby wtedy z ich nurtem. Przemiany takie jednak nie zachodzą. Jednym z walnych tego dowodów jest ciągle, mimo niepowodzeń militarnych, trzymanie się Hitlera u władzy oraz brak z Niemiec jakichkolwiek głosów, które potępiałyby wojnę, lub jeżeli nie wojnę, to chociaż metody okupacyjne Hitlera. I to trwanie hitleryzmu u władzy jest najistotniejszym wyrazem niemieckiej rzeczywistości. W obecnym okresie wojny Hitler oczywiście może ustąpić. Mogą dziś, pod wpływem ciosów z zewnątrz, następować jakieś przesunięcia wpływów politycznych wewnątrz Rzeszy. Będą to jednak, o ile nastąpią, skutki okoliczności, nie mających nic wspólnego z wewnętrznymi przemianami w Niemczech.

Dążności polityczne Niemiec w tej wojnie odzwierciadlał stan umysłów i układ stosunków wewnętrznych Rzeszy w okresie zwycięstw, względnie w czasie spekulacji na ostateczną wygraną. Stan spowodowany grzmotami i piorunami wojny oraz dobieraniem się Sprzymierzonych do żywej, niemieckiej skóry będzie tylko przejawem klęski, nie mającym nic wspólnego z ideową przemianą. Tłumaczenie pisarzy emigracji niemieckiej, twierdzącej, że narodowy socjalizm trzyma w zbyt silnych politycznych karbach naród niemiecki, aby mógł on ujawnić swe właściwe ideowe oblicze, nie wytrzymuje żadnej krytyki w zestawieniu z osiągnięciami ruchów podziemnych krajów okupowanych.

POTRZEBA UZGODNIONEJ STRATEGII POLITYCZNEJ

Churchill podkreślił ostatnio wyraźnie pierwszeństwo wysiłku militarnego w walce z Niemcami. Nie mógł mówić inaczej w przeddzień startu inwazji. Niemców nie pokonają jednak tylko ciosy militarne. Mogą one ich złamać; zwycięstwo pełne da dopiero zespolenie wysiłku militarnego z wysiłkiem politycznym. Brzmi to jak banał, ale niestety powszechnie tak jasne nie jest.

Wysiłek polityczny wymaga przede wszystkim utrzymania pełnej jedności Narodów Zjednoczonych, więc nie tylko czterech wielkich mocarstw. Spekulacja na niezgodę /czy tylko niedomówienia wśród Sprzymierzonych/ pozostanie do ostatniej chwili osiągania celu wojny najwyższą spekulacją strategii politycznej Niemiec, więc nie tylko Hitlera. Użycie przez socjalistów niemieckich w Stanach Zjednoczonych sprawy Polski, jako argumentu ataku na cele polityczne Sprzymierzonych w ogóle, jest przestrogą, której lekceważyć nie należy.

Polityka wobec Niemiec wymaga oczywiście prowadzenia propagandy w stosunku do nich. Propaganda ta ciągle jest nieuzgodniona. Z jednej strony Niemcy słyszą surowe słowa przewódców Narodów Zjednoczonych o zapłacie za winy, słyszą też zapowiedź sprowadzenia po wojnie Niemiec w Europie do ich właściwej roli. Z drugiej strony BBC w audycji niemieckiej /6.IV.1944/ pozwoliło na komentowanie zasady *unconditional surrender* przykładem 1865 roku — przykładem zakończenia wojny północnych Stanów z południowymi Stanami U.S.A. Komentator radiowy tłumaczył:

"Stany południowe w krótkim czasie po tej wojnie zostały znowu przyjęte do Unii a po 12 latach dały Stanom Zjednoczonym nawet prezydenta".

Niemcom trzeba mówić prawdę, muszą wiedzieć do czego ich prowadzi ślepy posłuch dla Hitlera. Trzeba w nich budzić strach przed odpowiedzialnością, a nie karmić nadziejami jej uniknięcia. Aby zaś mówić prawdę, trzeba dokładnie wiedzieć, czego się będzie chciało w chwili kończenia wojny. Plan Sprzymierzonych wobec Niemiec jest ciągle mglisty. Należy się obawiać, że będą na jego układanie oddziaływać emigranci niemieccy, których możliwości polityczne są większe, niż nam to się może wydawać.

Im wcześniej i konkretniej plan taki zostanie ujawniony, tym skuteczniej światło opinii publicznej Europy będzie przeszkadzało ciemnym machinacjom. I plan ten nie może być tylko tworem czterech mocarstw. Co nam każe znowu stwierdzić, że Europa także nie wie,co ją ostatecznie czeka. Bez niej zaś pokonanie Niemiec jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe było łamanie militarnej potęgi Trzeciej Rzeszy bez uderzenia na kontynent.

Długa jest jeszcze droga do Berlina.

JÓZEF WINIEWICZ

Szkic sytuacyjny

ATAK NA CHERBOURG

W chwili pisania tych słów wojska amerykańskie odcięły cypel cherbourski a doniesienia "pół-urzędowe" powiadają, że należy oczekiwać lądowań z morza na tym cyplu. Propaganda niemiecka już od paru dni bawi się w przewidywania, gdzie nastąpią nowe lądowania. Twierdzi ona, że olbrzymie konwoje zdążają do brzegów Francji i że nie należy przypuszczać, aby te konwoje płynęły ku zdobytym już przyczółkom. A zatem — Alianci gotują się do nowych lądowań.

Zdobycie portu Cherbourg byłoby wielkim sukcesem. W ten sposób Sojusznicy mieliby w ręku port znacznej wielkości, do którego można by "pompować" sprzęt w olbrzymich ilościach. Zyskiwaliby wtedy cały szmat lądu, zabezpieczony i mocny, pomogło by im to do oczyszczenia wysp w Kanale /Jersey i Guernsey/, które stanowią dalej jedyny ląd brytyjski znajdujący się w rękach wroga. Jest rzeczą jasną, że strategia aliancka, obliczając różne "za" i "przeciw" doszła do wniosku, że Normandia będzie najlepszym punktem wyjścia inwazji i że da doskonałe możliwości do przyszłych uderzeń.

Walki, jakie toczą się w Normandii nie tracą na gwałtowności. Jeden dzień jest spokojniejszy, drugi bardziej ożywiony, ale z doniesień sprawozdawców na froncie widać, że posuwamy się wolno, że wojska niemieckie walczą twardo i że tu i tam przechodzą do przeciwuderzeń. Siły niemieckie ocenia się w Londynie na 300.000 w tym 200.000 w linii frontu w Normandii. Daje to zatem około 20-tu dywizyj na odcinku normandzkim. Propaganda niemiecka opowiada — najwidoczniej po to, aby przekonać własne społeczeństwo, że żołnierz niemiecki walczy przeciwko przewadze liczebnej — iż Alianci mają aż 30 dywizyj w Normandii. Przypomnijmy sobie, że podobne zabiegi czyniła propaganda niemiecka we Włoszech opowiadając swojemu społeczeństwu, iż żołnierz niemiecki bije się przeciwko olbrzymiej przewadze liczebnej. Tymczasem wiemy, że przewagi tej nie było i że to wartości bojowe żołnierzy sojuszniczych oraz przewaga sprzętu zmusiły Niemców do odwrotu.

Sojusznicy podali do dnia 15-ego b.m., że na przyczółkach normandzkich są w akcji dywizje: 5 amerykańskich, 3 brytyjskie i 1 kanadyjska — razem 9 wielkich jednostek. Nie wiemy jak zostały one zasilone. Komunikaty mówią tylko o dosyłaniu sprzętu. Jest to na pewno podyktowane koniecznościami walki. Doniesienia amerykańskie — jak n.p. depesza z dnia 19.VI. w *"Daily Telegraph"* przesłana z Waszyngtonu — powiadają, iż straty w sprzęcie, szczególnie w czołgach, okazały się większe, aniżeli to przewidywano w obliczeniach przedinwazyjnych. Niekiedy straty w materiale pancernym przekroczyły trzy razy ten "preliminarz". W tych warunkach amerykańskie zakłady produkcji wojennej skupiły się od razu na produkcji czołgów, ażeby wyrównać ewentualne braki a raczej zaspokoić zapotrzebowanie.

Korespondenci amerykańscy nie ukrywają, że walki w miasteczkach Normandii były i są zawzięte, że Niemcy używają podstępów wszelkiego typu, że czołgi niemieckie typu "Tiger" i "Mark IV" są dalej potężną i groźną bronią. Straty w ludziach podane przez Amerykanów wynoszą ponad 15.000 w zabitych i rannych /cztery razy więcej rannych niż zabitych/, brytyjskie nie zostały jeszcze podane.

Po prawie dwu tygodniach walk w Normandii wrogowi nie powiodły się próby zepchnięcia wojsk sojuszniczych ze zdobytych stanowisk. Jest rzeczą jasną, że Niemcy zrobili wszystko, ażeby tego dokonać. Wiedzieli oni bowiem, jaki efekt wywołałoby to zarówno w Rzeszy, która bardzo potrzebuje chociażby pozoru sukcesu, jak i w świecie. *To było coś więcej, niż Anzio — tu chodziło o stłumienie niejako w zarodku uderzenia na zachód.* Przypomnijmy sobie, jak Hitler po wypadzie na Dieppe, przechwalał się, że Sojusznicy mogą sobie wylądować, ale "nawet 9 godzin nie utrzymają się na lądzie". Te wszystkie przechwałki okazały się próżne. Panowanie na morzu i w powietrzu przesądziło o losie ataku. Niemcy starali się zastosować niejako wzór jaki już raz stosowali w Libii, kiedy to, mimo przewagi morskiej i lotniczej Aliantów, sforsowali pochód aż niemal pod Aleksandrię. Ta gra nie powiodła się. Niemieckie siły pancerne uderzają raz po raz jak taranem, ale nie potrafiły złamać oporu. Przyczółki zostały poszerzone, powiązane w jedną całość. Alianci trzymają się i nie wykazują zamiaru cofania się.

Strategia niemiecka w tej wojnie wykazuje pewne zesztywnienie w swoich formułkach. Przypomnijmy sobie upartą, desperacką obronę pod Stalingradem, kiedy wszelkie szanse zostały stracone. Potem w odwrocie spod El Alamein Rommel zbyt długo opierał się, nie zastosował elastyczności i przez to stracił ciężki sprzęt. Podobnie stało się we Włoszech. Przydługa obrona na "linii Gustawa" sprawiła, że wojska niemieckie potrafiły same wydobyć się z gór i wzgórz, ale nie potrafiły wydobyć swojego ciężkiego sprzętu. Można było przeszmuglować czy przemycić niejako piechotę szlakami bocznymi, szczególnie drogami górskimi, ale z chwilą kiedy wielkie szosy jak szosa nr. 1 czy nr. 6 wpadły w ręce alianckie, nie było wielkich widoków na uratowanie ciężkiego sprzętu. Porażka niemiecka we Włoszech jest znaczna. Decyzja walczenia wszędzie, do ostatka, uparcie sprawia, że opóźnia się w czasie pochód aliancki, ale potem traci się nadmiernie sprzęt. Na to Trzecia Rzesza niebardzo sobie już może pozwolić.

ATAKI "BEZPILOTOWCÓW"

Podobnie wątpliwe wydają się inne chwyty Niemców — ataki bezpilotowych maszyn. Piszący te słowa nie ma wykształcenia technicznego, woli zatem nie poruszać szerzej zagadnienia, pozostawiając je fachowcom. Niech oni opowiedzą o maszynach kierowanych falami radiowymi — dwa bodaj aparaty tego typu, jeden z nich zwany *"The Queen Bee"*. były w użyciu jeszcze przed wojną dla ćwiczeń artylerii floty brytyjskiej — niech oni wyrażą sąd na temat przyszłości tych aparatów oraz szans ich zwalczania. Laikowi wydaje się, że ta niemiecka "tajemnicza broń" została rzucona głównie dla efektu psychologicznego.

Ma ona przekonać Niemców, którzy chwilowo trochę lżej oddychają, albowiem lotnictwo sojusznicze ma pełne ręce roboty we Francji, że "nadeszła chwila odpłaty" za naloty na miasta niemieckie i że Anglia jest u skraju paniki. Broń typu *"robot plane"*, jak to zwie owe maszyny prasa brytyjska, działa istotnie na wyobraźnię mas: jest coś niesamowitego, coś z wizji Wellsa w tych maszynach bez pilota, spadających, gdzie popadnie. Ale wyobraźnia ludu brytyjskiego jest spokojnego charakteru, jest wytrzymała, nie ulega histerii. Wydaje się, że ta *"secret weapon"*, która w pewnych krajach Kontynentu /przede wszystkim w samej Rzeszy/ wywołałaby obawy a nawet odruchy paniki, nic nie wskóra w Anglii.

Gdyby jeszcze Niemcy mogli rzucić setki, tysiące tych maszyn — wtedy rzecz przedstawiałaby się poważnie. Widocznie jednak nie bardzo mogą sobie na to pozwolić. Laikowi wydaje się, że eksperyment niemiecki jest kosztowny /maszyna typu *"robot 'plane"* kosztuje pewnie niemal tyle, co "normalny" aparat/ i że Rzesza cierpi raczej na brak maszyn, aniżeli pilotów. Obecna sytuacja Niemiec wymaga raczej najbardziej precyzyjnego i dokładnego bombardowania, aniżeli *"indiscriminate bombing"* — a owe *"flying bombs"* są szczytowym niejako wyrazem bombardowania na chybił trafił. Atakowanie zaś konwojów morskich, taborów i t.d., to są zadania dla bardzo dokładnego bombardowania. Wydaje się, że te *"flying fire-crackers"*, jak je zwie prasa amerykańska, nie spełniają całkowicie tego zadania.

Nie wiemy, czy poza efektem psychologicznym nie gra tu roli również i fakt, że Niemcom brakuje ciężkich bombowców. Wyładowane niejako po brzegi materiałem wybuchowym "roboty" spełniają po części rolę tych maszyn, których Rzesza nie ma.

Opanowanie "robota" będzie dziełem zbiorowego wysiłku mózgów brytyjskich. Na razie trzy są metody walki: specjalny ogień zaporowy, który ściga "roboty" od chwili przekroczenia brzegu, zapory balonowe i ataki myśliwców. Te ostatnie są ryzykowne, albowiem "robot" wybuchający w powietrzu może łatwo rozbić atakującego myśliwca: siła podmuchu */blast/* jest straszliwa, natomiast przenikanie */penetration/* słabe.

NA INNYCH FRONTACH

Na froncie włoskim idziemy szybko naprzód, przy czym uderzenie na wyspę Elbę — niektóre pisma polskie dalej jeszcze nie uznają rzeki Łaby, pisząc z uporem o "rzece Elbie" — jest manewrem na czasie. Dla Aliantów Elba jest ważna, albowiem stanowiła ona "cierń w boku" dla całej żeglugi sojuszniczej. Zdobycie tej wyspy da ogromne nowe możliwości w stosunku do lądu włoskiego, jak i w stosunku do Francji południowej.

Wojska rosyjskie posuwają się szybko na Viipuri /Wyborg/, przełamawszy trzy linie obrony. Flota bałtycka wspiera działania armii rosyjskiej.

Położenie armii fińskiej jest na pewno groźne. Premier fiński Linkomies nie ukrywał tego faktu w przemówieniu radiowym. Wojska fińskie są wyczerpane. Zadanie rosyjskie będzie wcale łatwe, tym bardziej że Niemcy nie okazują ochoty wsparcia Finów. Wydaje się, że wynoszą się oni chyłkiem do Norwegii. Finlandia może się znaleźć w sytuacji walki samotnej. Jej położenie dyplomatyczne pogorszyło się przez krok USA wręczenia paszportów dyplomatom fińskim w Waszyngtonie, w tym posłowi Procope. Nie jest to jeszcze "zerwanie stosunków dyplomatycznych", powiada Waszyngton, ale każdy może domyślić się, że już niewiele do tego brakuje.

Z frontu politycznego zanotować trzeba sprawę de Gaulle'a, która wikła się coraz bardziej. *"Economist"* w przeglądzie tej sprawy zaznacza, że powodem ociągania się USA z uznaniem tymczasowego rządu de Gaulle'a są obawy, że generał de Gaulle ma zapędy dyktatorskie. Wydaje się, że ten domysł, podzielany przez licznych obserwatorów, jest najbliższy prawdy.

Drugim faktem jest usztywnienie stanowiska Turcji; usunięcie się z widowni ministra spraw zagr. pana Menemoncioglu sprawiło, że dotychczasowy premier Sarajoglu pochwycił ster polityki zagranicznej. Wywołało to zaraz krok znamienny: niemiecki statek pomocniczy "Kassel" został zawrócony ze Stambułu na Morze Czarne po przeprowadzeniu rewizji, a inne jednostki niemieckie będą zbadane. Polityka turecka, jakkolwiek dalej ostrożna, wysnuwa wnioski z postępów Sojuszników we Włoszech.

Londyn, dnia 19-ego czerwca 1944-ego r.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Wojna na morzu

REFLEKSJE NA TEMAT INWAZJI

Najpierw rzut oka wstecz. Cztery lata temu Hitler szykował inwazję Anglii. W Niemczech wyśmiewano oświadczenie brytyjskie po Dunkierce: *"We shall come back"* — powrócimy.

Inwazja Anglii nie doszła jednak do skutku, bo na dwudziestu milach słonej wody strażowała Marynarka Brytyjska. Gdyby nie ona — bitwa o Anglię toczyłaby się nie w powietrzu, ale . . . na lądzie brytyjskim. Ale rola *"Royal Navy"*, której w tym krytycznym momencie sekundowała skromna Marynarka Rzeczypospolitej Polskiej — nie ograniczyła się do działalności obronnej. Niewątpliwie największym jej osiągnięciem było utrzymanie otworem komunikacji między Wyspą Brytyjską a Dominiami, Koloniami i Stanami Zjednoczonymi.

Przez 4 lata i 8 miesięcy — aż do chwili desantu "odwrotnego", do chwili powrotu na kontynent — Marynarka zaopatrywała W. Brytanię w zasoby strategiczne, w sprzęt, w ludzkie rezerwy. Dzięki niej uzyskano możność rozbudowy lotnictwa i przetrwania aż do lepszych czasów. Dzięki niej przybyła pomoc amerykańska. Dzięki niej wojsko mogło być przerzucane poprzez olbrzymie połacie mórz na różne teatry operacyjne.

Marynarka dała czas, potrzebny do wzmożenia produkcji wojennej i doprowadzenia jej do kryterium potęgi. Po czym — we właściwej chwili — przerzuciła z powrotem na kontynent wojsko i sprzęt w niesłychanych dotychczas ilościach. Wgniotła w ziemię, przydusiła baterie i bunkry nieprzyjacielskie na wybrzeżu. Oddaliła i unieszkodliwiła okręty podwodne, ścigacze i kontrtorpedowce niemieckie. Zagroziła nawet *"Luftwaffe"*. A lądującym na brzegu wojskom stworzyła zasłonę z własnego ognia, na dwadzieścia i więcej tysięcy metrów w głąb.

Jaki to był ogień — wiemy z gazet. Na jednym tylko skrawku wybrzeża 640 dział okrętowych, kalibrów od 4 do 16 cali, wyrzuciło w ciągu 10 minut 2.000 ton żelaza, stali i materiałów wybuchowych. Oczywiście — lotnictwo potrafi to zrobić szybciej. Ale — ogień okrętów trwał bez przerwy . . . 16 godzin. I trwa, z małymi przerwami, po dziś dzień.

HITLER SIĘ PRZELICZYŁ . . .

"Anglia przestała być wyspą" — wołano w Niemczech w pierwszych dniach wojny. — "Nasza *Luftwaffe* upora się z tym małym krajem kupczyków i snobów w ciągu krótkiego czasu. Flota brytyjska zostanie zniszczona z powietrza" . . .

Jednak Marynarka Brytyjska jest dziś potężniejsza co najmniej czterokrotnie, niż w r. 1939 /mimo strat jakie poniosła/. Nie zniszczono z powietrza ani jednego kapitalnego okrętu *"Home Fleet"*, ani jednego arsenału, ani jednej podstawy operacyjnej.

I Anglia nie przestała być wyspą. Więcej. Stała się lotniskowcem. Lotniskowcem, zakotwiczonym 20 mil od brzegów Francji, z którego w dzień i w nocy wzbijają się chmary samolotów. Broniony przez okręty *Royal Navy* "lotniskowiec" — ani na chwilę nie zaprzestał działalności. W ten sposób powiązały się strategicznie, taktycznie i operacyjnie role Marynarki, Wojska i Lotnictwa, i trwać tak będą do chwili wielkiego zwycięstwa.

Okazało się, że Hitler przeliczył się. Nie można zastąpić "kolejności potrzeb" — wpierw ta dziedzina sił zbrojnych, potem t a m t a. Proporcja i ciągłość muszą być zachowane wszędzie. Brak marynarki i lotnictwa stał się przyczyną klęski w Polsce. Brak wojska i częściowo lotnictwa stał u podstaw niepowodzeń brytyjskich 1940 — 41 roku. Wszystkie zwycięstwa lądowych i powietrznych sił Hitlera okazały się złudne wobec panowania Sprzymierzonych na morzu. Odtąd w Wielkiej Strategii obowiązuje reguła: r ó w n o c z e s n y, p r o p o r c j o n a l n y r o z w ó j w s z y s t k i c h t r z e c h d z i e d z i n s i ł z b r o j n y c h. Lepiej mieć taktycznie wartościową całość — nawet liczebnie mniejszą, niż rozbudowywać jedną dziedzinę kosztem drugiej, bo to podważa wartość obrony państwa. Stare koncepcje "potęg lądowych" straciły ogromnie na znaczeniu, dziś w dobie wojny totalnej, technicznej i ekonomicznej. Co byłoby z Rosją gdyby nie morskie dostawy z Anglii i Ameryki?

Sztab niemiecki sądzi jeszcze, że może uda mu się pobić przeciwnika w głębi lądu, poza zasięgiem ognia dział okrętowych. Ale i to wydaje się "marzeniem", gdyż Marynarka potrafi przerzucić na Kontynent tak olbrzymie siły i w tak rozlicznych punktach, że mury twierdzy niemieckiej zaczną trzeszczeć. I nawet jakiś chwilowy sukces taktyczny nic nie zmieni w tragiźmie sytuacji Niemiec. Bitwy pod Salerno i Anzio — są tego jawnym dowodem.

NIECO GEOGRAFII

Jedno z angielskich pism niedzielnych przyniosło swym czytelnikom w dziele *"Are you sure"* charakterystyczne pytanie: Nad jaką rzeką leży Rzym? Nad Tygrysem, Tagiem, Wołgą, Dunajem czy Tybrem?

Nie świadczy to o wysokim znawstwie geografii wśród szerokich sfer owych czytelników. Na pytanie takie odpowiedziałby łatwo uczeń 2-ej klasy szkoły powszechnej w Polsce.

Trzeba jednak przyznać, że z punktu widzenia geostrategii desant przygotowany był wspaniale. Wszystkie dane geograficzne i nawigacyjne przestudiowano do najdrobniejszych szczegółów. Specjalne ekspedycje tajne, wysłane na brzeg francuski, badały złoża geologiczne lądowisk, stan dna morskiego i prądów. Wody La Manche należą do najtrudniejszych nawigacyjnie, obfitują w rafy, skały, mielizny, silne prądy i przybój; różnica poziomów między przypływem a odpływem wynosi nieraz 8, 10, a nawet 14 metrów. Jeśli dodać wiatry, mgły i opary — oraz przeciwdziałanie nieprzyjaciela /miny, zagrody, samoloty, ścigacze, artyleria, i t.p./, to można sobie wyobrazić trudności, jakie musiała pokonać marynarka.

Cały Półwysep Normandzki jest skalisty, przy czym odnogi jego sięgają daleko w morze i są zalane w czasie przypływu. Ponieważ Niemcy z pewnością usunęli główne znaki nawigacyjne i pogasili światła latarń i pław, pomyślne trafienie na lądowiska nie należało do rzeczy łatwych. Cóż dopiero samo lądowanie.

Ale tę pierwszą fazę mają Sprzymierzeni już poza sobą. W chwili gdy piszemy te słowa wydaje się, że następuje przecięcie półwyspu od południa. Jego największy port — Cherbourg — posiada słynną redę, na której stać może cała flota. Przyjmować może największe okręty i statki. O lepszej bazie "wpadowej" trudno marzyć.

TAJEMNICE I NIESPODZIANKI

Podczas gdy w Berlinie ludność z niepokojem zadaje sobie pytanie: "gdzie są niemieckie okręty podwodne" — w Londynie gazety pytają: "gdzie jest *Luftwaffe*"?

Na pierwsze pytanie nietrudno odpowiedzieć. Radio londyńskie ogłosiło listę 133 niemieckich okrętów podwodnych, zatopionych od początku wojny. Są to okręty zidentyfikowane, to jest takie, które zdołały przed zatopieniem znaleźć się na powierzchni — i z których wzięto jeńców. Niewątpliwie przeszło dwa razy tyle poszło na dno bez "identyfikacji" — od bomb głębinowych, min i innych środków walki.

Stocznie niemieckie wciąż jeszcze produkują nowe okręty, ale z personelem jest coraz trudniej. Straty w ludziach wynosić muszą około 15.000 najlepszych podwodników. Nowi nie są już tak dobrze wyszkoleni, a przede wszystkim, wobec wzrastającej ofensywy przeciwpodwodnej, nie przejawiają już poprzedniego ducha. Zbyt młody personel /często 18 lat/ nie wytrzymuje twardych warunków wojny podmorskiej. A po obu stronach Kanału czekają na podwodników Doenitza okręty i samoloty Sprzymierzonych.

To też — poza małymi wyjątkami — niemieckie okręty podwodne nie kwapią się do strefy działań. Te zaś które się tam znajdą — pomijając trudności nawigacyjne — będą miały "ciężkie życie".

Tajemnica *"Luftwaffe"* jest trudniejsza do wyjaśnienia. Prawdopodobnie Niemcy oszczędzają do maksimum swoje siły powietrzne. A zresztą zwalczenie ognia 4.000 okrętów i 10.000 barek desantowych, zwalczanie 11.000 samolotów w powietrzu oraz równoczesna obrona baz własnych — wydaje się zadaniem przerastającym dziś możliwości lotnictwa niemieckiego, zaangażowanego na tylu frontach.

Jakkolwiek by było — *"Luftwaffe"* tym razem nie zastąpi Hitlerowi marynarki, której resztki /okręty lekkie/ bardzo odważnie, ale bez powodzenia usiłowały szkodzić desantowi.

W zamian Sprzymierzeni przygotowali na morzu szereg niespodzianek: statki — miotacze ognia i materiałów wybuchowych, statki — bombardy uzbrojone w baterie moździerzy, statki — amfibijne, statki — łamacze zagród i wykrywacze min, pancerniki z niespotykaną dotychczas siłą ognia, krążowniki liniowe po 27.000 ton, samoloty z napędem rakietowym i samoloty z rakietnicami bombowymi, szybowce — olbrzymy. To tylko cząstka.

KILKA FAKTÓW

Ze stosunkowo drobnych potyczek z nieprzyjacielem zanotować należy bitwę pod Ouessant na Atlantyku, w której łącznym działaniem brytyjskich i polskich okrętów /"Piorun i "Błyskawica"/ zniszczono dwa kontrtorpedowce niemieckie, biorąc 162 jeńców. Poza tym, zatopiono szereg innych jednostek nieprzyjaciela w różnych okolicach wybrzeża. Straty marynarek Sprzymierzonych — w stosunku do ilości obiektów pływających i napotkanych trudności — były raczej niskie. Admirał Ramsay słusznie może być dumny z operacji, której skoordynowanie taktyczno-operacyjne należało do najtrudniejszych w historii.

Polacy zaś mogą być dumni, że 75% Polskiej Marynarki Wojennej bierze udział w inwazji, z O.R.P. "Dragon" na czele. W ten sposób utrzymana jest tradycja uczestnictwa bandery polskiej we wszystkich ważniejszych operacjach *"Royal Navy"*. Wiadomo, że "Dragon" czynnie wspierał działania słynnej 3-ej dywizji.

Ogień artylerii okrętowej wspaniale zastąpił /w kwadracie/ artylerię lądową, która w pierwszej fazie dopiero wyładowywała się z okrętów. Pancerniki "Warspite" i "Nelson" ogniem swych dział zdemontowały szereg baterii i otworzyły drogę piechocie. "Warspite" uszkodzony bombami lotniczymi pod Salerno /1943/ osłaniany był wówczas przez O.R.P. "Ślązak" i "Krakowiak", dzięki czemu udało się go wyprowadzić szczęśliwie ze strefy niebezpiecznej. "Nelson" storpedowany na Morzu Śródziemnym w r. 1941, eskortowany był do Gibraltaru przez O.R.P. "Piorun" i "Garland". Historia nieraz bywa wymowna.

TAJEMNICA NIEZACHOWANA

Prasa przyniosła wiadomość, że amerykański generał Miller został surowo ukarany i retrogradowany za to iż w czasie wesołej biesiady z paniami oświadczył: "Daję wam słowo — inwazja rozpocznie się przed 15 czerwca".

Jeśli tedy zaskoczenie taktyczne się udało, to strategicznie i operacyjnie Niemcy byli przygotowani na atak. Zły stan pogody i niski poziom morza pomogły Sprzymierzonym w uzyskaniu pewnego elementu zaskoczenia. Ale ile istnień ludzkich gen. Miller ma dziś na swoim sumieniu — trudno stwierdzić.

Zachowanie tajemnicy wojskowej musi być specjalnie wdrażane, musi wejść — że tak powiemy — w krew. Żadne względy uboczne — ambicja, publicystyka, duma, a tym bardziej samochwalstwo nie mogą być tolerowane.

SPROSTOWANIE

W "Wojnie na morzu" z dn. 10 czerwca, wskutek omyłki w przepisywaniu, wydrukowano, że Polsce wystarczyło by pół procent tonażu amerykańskiego, zbudowanego od grudnia 1941. W istocie powinno być p i ę ć procent — co stanowi 150 do 200 tysięcy ton.

JULIAN GINSBERT

W rocznicę walk I Dyw. Grenadierów

"My idziemy do Warszawy..."

Wiosna 1940 r. Postój w rejonie Colombey. Doszkalanie na gwałt, wypatrywanie uzupełnień w broń i sprzęt, niecierpliwe wyczekiwanie rozkazów dalszego marszu, by nareszcie wejść w walkę. I głęboko w sercach pielęgnowana wiara w to, że "my idziemy do Warszawy." *

Otrzymaliśmy nasze grenadierskie chorągwie, sprawialiśmy ostro nasze grenadierskie szyki i szliśmy do niej przez księstwo króla Stanisława Leszczyńskiego. Jakże irytowały nas przydługie postoje i jakże martwiła nas ich krótkość ze względu na ograniczoną możność solidnych przygotowań. Wieści spod Sedanu i z Belgii nie trapiły nas: niech inni zrozumieją, jak ciężko nam było we wrześniu. Wierzyło się, że wszystko będzie dobrze.

Pierwsza dekada czerwca zakończyła się wejściem naszej piechoty na "ufortyfikowany odcinek Saary i Alby." Rozczarowanie rzeczywistością było spore, lecz zaciśnięto zęby.

Dalszy etap drogi do Warszawy rozpoczął się. Jego kierunek był dziwny, wręcz przeciwny na pozór, nakładał tyle kilometrów, ale przecież zmierzał do niej, sercem był jej bliski. Insming, Diueze, Bacarrat, Raon l'Etape, Etival — oto paciorki w różańcu zmagań, związane krzyżem Lagarde, najkrwawszym wysiłkiem 2 pułku grenadierów — i wreszcie rozerwany łańcuszek pod St. Dieu.

Szlak pisany krwią dowódcy pułku płk. Władysława Ziętkiewicza i jego żołnierzy. Szlak na zawsze wyznaczony tysiącem mogiłek polskich grenadierów. Koniec jednej, a początek drugiej, jakże fantastycznej a jak prawdziwej legendy.

Szlak grenadierski poszedł dalej — przez lasy i bezdroża, przez obozy jeńców i więzienia, przez góry i żywioły, z lekceważeniem przestrzeni, z szaloną fantazją i determinacją. W łachmanach i z kilofem, czy w battledressach i z bronią, rozproszeni po świecie i rozproszeni w dziesiątkach naszych formacyj czy organizacji, my grenadierzy idziemy do Warszawy!! Wykonamy, grupkami czy pojedynczo, i to jeszcze nie raz po drodze, naszą grenadierską robotę, tak jak pod Alberstroff, pod Dieuze i pod Lagarde. Tylko teraz niewątpliwie będziemy szli wprost na wschodzące słońce.

Na wprost Neling, na skraju lasu, w wąskich szczelinach ppancernych, tkwi grupa żołnierzy. Jest im bardzo ciepło, grzeje ich z dwu stron. Za plecami płoną składy amunicji artyleryjskiej, nieco przedwcześnie zapalone przez francuskich saperów, z przodu walą "oni" aż miło. Idzie ogień z czołgów amunicją świetlną, strzela artyleria i wiele broni maszynowej.

Na zachodnim skrzydle patrole nieprzyjaciela wdarły się w nasz bok. Przeciwuderzenie słabiutkim odwodem baonu chwilowo zabezpiecza sytuację. Ale młody kapitan, który tam dowodzi, jest strasznie zadowolony. Bo ludzie trzymają się znakomicie, a działanie rozwija się tak, jak na placu ćwiczeń. Nieprzyjaciela widać doskonale i nie potrzeba rozjemców, by "zadawał straty" przeciwnikowi. Są one spore. Więc uszczęśliwiony dowódca kompanii zwierza się swemu dowódcy z poczynionych obserwacji nad sposobem działania niemieckiej straży przedniej.

Tegoż dnia wieczór trzeba było wykonać rozkaz i wycofać się o godz. 21-ej, czyli z pierwszym zmrokiem. Między przednim skrajem pozycji, a t.zw. linią zatrzymania pierwszego baonu 2 p. gren. na jego wschodniej części odcinka teren był jak stół i cały pod ogniem wroga. Jest tego prawie kilometr na głębokość.

Kabel dawno przestał działać. Radio też milczy. Pozostał — jak zawsze — człowiek. Trzeba przenieść rozkaz za dnia, aby odskok wykonać sprawnie i na czas. Zgłasza się na ochotnika grenadier Z. z pierwszej k.c.k.m. Mimo, że używał lisich forteli, został spostrzeżony i stał się tarczą strzelecką. Prano weń jak w przysłowiowy kaczy ogon.

Nie zawrócił. Doszedł — i rozkaz doręczył.

A pod Lagarde z łącznością było jeszcze gorzej i to właściwie od początku. Kapral K. dowódca patrolu telefonicznego, widząc, że kabel jest niemiłosiernie traktowany nie tylko przez nosicieli amunicji, patroli i dziesiątków rannych, ale nade wszystko przez nawały ognia artylerii i moździerzy idące jedne za drugimi, zamienia telefonistów w "zająców," organizując niezmordowanie łańcuchy gońców.

Ten chłopak trwa niezachwianie przy swym dowódcy na całym szlaku walk pułku, zawsze wesoły i zapobiegliwy, gotów do wszelkich zadań na złamanie karku. Potem, po tragicznym 21 czerwca, on, Mazur, wędruje pół tysiąca kilometrów przez nieznaną Francję za swym dowódcą i zamelduje mu się, po drugiej stronie linii demarkacyjnej, w mundurze i "przy orzełku!"

—"A ja przyniosłem dla pana ten pistolet, napewne się panu przyda, a mój też mam".

Grenadier Nowakowski pochodził spod Lille. Był kierowcą przy dowódcy baonu. Zupełnie nie przejmował się widokiem niesamowitego zachowania się szosy ostrzeliwanej z samolotów. /Tak zabawnie skaczą po niej kamyki i asfalt, jak żaby po deszczu./ Poza tym martwił się, że odłamki artyleryjskie psują karoserię jego wozu.

Drugiego dnia pod Lagarde, po południu zrobiło się całkiem źle. Nieprzyjaciel obezwładniał kolejno poszczególne punkty oporu, a że były one dość rozproszone w bogatym terenie, patrole niemieckie przenikały dziesiątkami i grupowały się na naszych tyłach. W te luki pchało się ich coraz więcej i więcej. Obrońcy byli dziesiątkowani i "wyduszani." Przeciwnatarcie prowadzone osobiście przez dowódcę pułku zostało złamane miażdżącym ogniem artylerii, jeszcze daleko od tyłów baonów pierwszej linii. Innych odwodów nie było. Był koniec.

Wycofujące się załogi ze straconych pozycji, spotykając grenadiera Nowakowskiego we wnęce pod laskiem Vaucourt doradzały mu by "zjeżdżał," zaraz, bo koniec. A on odpowiadał:

—"Mój major będzie potrzebował wozu, a on jest jeszcze ciągle: tam" — i czeka.

Seria z pistoletu maszynowego oddana z kilkunastu kroków przez "*Jagdtruppenpatrouille*" uniemożliwiła grenadierowi spełnienie jego zadania. Jakże bardzo zmartwiłby się zmienionym wyglądem samochodu, postrzelanych blach, wybitych szyb i plam jego serdecznej krwi — wyglądem tak zmienionym, że "jego major", przedzierający się tamtędy w godzinę potem, swój wóz nie od razu poznał.

Podporucznik S. był zajadłym góralem. Pierwszego dnia poprowadził cztery, drugiego jedno przeciwuderzenie. Sam przy tym strzelał z erkaemu, bo zwykły pistolet uważał za zbyt mały. Prowadził z równym skutkiem swoich chłopców jak również, w owym momencie zupełnie niesłusznie nazywanych "łazikami," różnych kancelistów, druciarzy i inne "towarzystwo," których mu doprowadziło brawurowe natarcie szefa sztabu pułku.

Por. S. miał pod Lagarde wyjątkowe szczęście, bodajże on najwięcej własnoręcznie utoczył plugawej krwi szwabskiej. Chyba zbiorowo przewyższyli go nasi kochani, cudowni artylerzyści. On najwięcej ze swych kolegów miał okazji do podrywania swego otoczenia do miłej sercu żołnierskiej roboty wręcz.

Na pewnym punkcie oporu nad kanałem było ich dwóch ze swymi plutonami. Jeden ze strzeleckim z I-go, drugi z c.k.m. z III-go baonu 2 p. gren. Jakże śliczną "odstawili" robotę — razem lub na przemian.

Bo wyobraźcie sobie obły pagórek, łysy jak kolano, zamykający ryglowo serce pozycji. Leciało tam przez dwa dni moc żelastwa, stwarzając "krajobraz księżycowy." Tam pchali się jak węże "*Stosstruplerzy.*" Wytrwały te plutony do granic możliwości, a nawet granice te przekroczyły. Wytłukiwali ich Niemcy po kolei niemiłosiernie, ale ilu ich oni natłukli? Dobra, czysta robota. Tak trwali pod ogniem, na pół otoczeni i wytrwali całkiem do końca. To jedna z wielu przepięknych kart boju pod Lagarde.

Lista nazwisk poległych i rannych jest bardzo długa. Według wszelkich danych zaczyna się ona niestety od dowódcy pułku i jego adiutanta. Lista innych, którzy dobrze spełnili swe powinności żołnierskie grenadierów 2 pułku Wielkopolskiego z 1 Dyw. Polskiej we Francji, jest też bardzo długa.

Nie sposób tu wymieniać wszystkich. Nawet nie sposób jest wymienić wielu. Wspomniałem bardzo nielicznych, ot tak na wyrywki wybierając na ślepo zaledwie kilka "numerów ewidencyjnych," nie patrząc ani na hierarchię czynów i zasług, ani na stopnie wojskowe czy sentymenty osobiste.

Tych wszystkich innych, gorąco pamiętamy, a jeżeli zły los sprawił, że nazwisko któregoś z nich ucieka z zawodnej pamięci, to niech wszyscy wiedzą, że ich krwawy trud rozświetlił jaskrawie honor polskich grenadierów i rzucił potężny snop światła na drogę, która wiodła nas, a powiedzie i nas i innych rodaków — do Warszawy.

MICHAŁ LIPIEC

* Początek pieśni, której autorem jest podchorąży Jerzy P. z 1 komp. k.m. 2 p. gren. zaś muzykę ułożył Zygmunt Dygat, jeden z uczniów Paderewskiego. Pieśń ta pełna siły i rytmu marsza wojskowego, była śpiewana przez naszych zdemobilizowanych przez władze francuskie żołnierzy, żyjących w znoju i głodzie, lecz trwających w niezachwianej wierze.

W dniu rozwiązania Dywizji

21 czerwiec 1940 r.—będzie to historyczny dzień w dziejach Armii Polskiej we Francji, dzień tragiczny.

Około północy z 20 na 21 czternaście aut półciężarowych przewiozło nasz baon 1/1 p. gr. Warszawy z Raon les Trapes, gdzieśmy po raz ostatni mieli styczność bojową z nieprzyjacielem, do La Hollande /w kierunku na St. Dié/. Baon pod dowództwem kpt. Z. wszedł do lasu i tam rozłożył się do snu.

Mimo potwornego zmęczenia, musiałem poszukiwać kuchni polowych i reszty taboru baonowego, który dnia poprzedniego pozostał pod St. Dié, nadto poszukiwałem oficera żywnościowego pułku, który nie wydał do tego czasu żywności, należnej baonowi na dzień 21.VI. Wkrótce go znalazłem i wyfasowałem żywność.

Była godzina 4 rano. Wschodziło słońce. Na szosie zaczął się gwałtowny ruch odwrotowy, oddziałów francuskich. Trwał on już wprawdzie od kilku dni, ale obecnie zaczął nabierać charakteru masowego, niezorganizowanego, a nawet chwilami wręcz bezładnego.

Wywołało to żywy oddźwięk wśród naszych żołnierzy. Wprawdzie rozkaz gen. Sikorskiego, nadany przez radio, otwierał nam już oczy na grozę naszej sytuacji, ale wciąż jeszcze wśród naszego wojska pozostawała szczypta nadziei, że jednak jakoś, gdy się pośpieszymy, uda nam się przedrzeć przez zamykający się, ale jeszcze, jak się nam zdawało, niezamknięty pierścień wojsk niemieckich. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, jaka jest już w rzeczywistości sytuacja. Większość oficerów domyślała się jej, lecz nie miała pewności, że właściwie jest beznadziejna.

Aby ducha w wojsku naszym podtrzymać wyolbrzymialiśmy możliwości przedarcia się na południe, ale spotykaliśmy się z coraz natarczywszymi pytaniami żołnierzy: dlaczego jeszcze zatrzymujemy się, dlaczego zwlekamy, dlaczego nie stosujemy się do rozkazu Naczelnego Wodza? Odpowiedź nasza — oficerów w linii — była jedna, lecz raczej formalnej natury: musimy czekać na rozkaz. Wówczas jeszcze nie mogliśmy i nie chcieliśmy zresztą twierdzić na pewno, że sytuacja jest tego rodzaju, iż wycofanie się dywizji z pierwszej linii mogło tylko przyśpieszyć katastrofę: otoczenie i rozbicie armii, a nie uratować naszej dywizji.

Ale wymijające odpowiedzi nie uspakajały. Przeciwnie niepokój rósł z godziny na godzinę, dawał się wyczytać w zmęczonych oczach każdego żołnierza. Z ust do ust podawano sobie najprzeróżniejsze wiadomości, coraz to gorsze, coraz to bardziej beznadziejne.

Na szosie koło auta żywnościowego pułku spotkaliśmy się we czterech: ppor. H., por. Sz. /adiutant II/2 p. gr./, chor. Dz./oficer amunicyjny pułku/ i ja—wszyscy czterej z przyprószonymi siwizną włosami, żołnierze poprzedniej wojny. Tu wśród nas nie mogło być niedomówień. To też szybko i zgodnie oceniliśmy sytuację. Rzekłem do nich na zakończenie naszej rozmowy:

—"Nie mam wątpliwości, że skończyła się nasza rola tu we Francji w wojnie z Niemcami. Nadszedł czas, w którym znów zacznie się próba charakterów jednostek."

W tym nastroju, z głową ciężką od trapiących mnie, smutnych myśli, czyniłem dalsze poszukiwania resztki taborów naszego baonu. Byłem jednocześnie podniecony i tak fizycznie wyczerpany, że słaniając się na nogach myślami krajałem włos na cztery części. Mieszały się w myślach sprawy ogólne z osobistymi. Ale nad wszystkim górowała jedna troska: rozmyślałem nad tym, jak ratować od zagłady nasz I baon. Myśl usiłowała torować drogę dla odpowiedzi: jak się przebić przez okalający nas łańcuch wojsk nieprzyjacielskich? czy to jest w ogóle możliwe? a jeżeli tak, to w jaki sposób?

Po denerwujących poszukiwaniach naszego taboru, który nie pozostawił ku memu utrapieniu na miejscu wczorajszego swego postoju łącznika, wreszcie koło godz. 6-tej odnalazłem go w głębi wsi La Hollande.

Wydawszy szereg zarządzeń natury gospodarczej, udałem się do m.p. naszego baonu. Wszyscy jeszcze spali snem kamiennym. Z bezruchu, w jakim spoczywali, z głębokich oddechów lub głośnego chrapania, jaki się dokoła rozlegał, widać było, jak ludzie potrzebowali tego odpoczynku. Oficerowie, jak zwykle w naszym baonie, przeważnie leżeli wśród swoich żołnierzy.

Dopiero gdy nadjechały kuchnie ze śniadaniem, zacząłem ich budzić. Wojsko od obiadu, wprawdzie bardzo obfitego i spóźnionego w dniu poprzednim —nic nie jadło. To też hasło: śniadanie — szybko stawiało wszystkich na nogi. Oficerowie budzeni przeze mnie wszyscy niemal witali mnie jednym, wciąż tym samym natarczywym pytaniem:

—"Co słychać?"

Odpowiedź moja była zupełnie niewystarczająca: "Nic nowego."

Ta odpowiedź snać zrobiła na nich wrażenie strumienia zimnej wody, bo szybko, nerwowo podrywali się ze swoich legowisk. Nie spostrzegłem kiedy niemal wszyscy oficerowie i aspiranci naszego baonu skupili się na pobliskiej łące w gromadkę, głośno rozprawiającą nad sytuacją. Języki się rozwiązały. Dawali wyraz niepokojowi. Ocena sytuacji była jednolita: na pewno, jeżeli nie jest już za późno, to jest to ostatnia chwila, aby przedrzeć się przez krąg wojsk niemieckich.

Pytania: "co robić?" początkowo padały w przestrzeń, ale szybko zaczęły tracić charakter pytań retorycznych i zwracać się wyraźnie pod adresem starszyzny baonowej, przede wszystkim oczywiście dowódcy baonu, kpt. Z.

Widać było, że jest tak samo niespokojny, jak wszyscy pozostali jego koledzy, ale w swoim stu procentowo żołnierskim sumieniu nie odnajdywał innej odpowiedzi, jak: czekać rozkazu!

Po długich naradach, on i kpt. M., dowódca 1 kompanii ckm, postanowili się udać do dowództwa pułku. Po tej decyzji zapanował pozorny spokój: temat na tymczasem został wyczerpany, ale z napiętego milczenia wynikało jasno, z jakim natężeniem wszyscy wyczekują powrotu naszych kapitanów. Kiedy ta chwila wyczekiwania zaczęła się przedłużać, pytania i dyskusje, wciąż te same, ponownie zaczęły rozbrzmiewać, ale tłumiły je słowa: "Poczekajmy na wiadomość, jaką oni przyniosą."

Musiało być już dobrze po 9-tej /umyłem się, ogoliłem, zjadłem śniadanie, zacząłem zbierać do kupy nasz cały tabor baonowy i zarządziłem zbiórkę baonu dla ustalenia stanu ludzi/ gdy kpt. Z. i kpt. M. wrócili z dowództwa pułku.

Wystarczyło spojrzeć na ich twarze, aby odczytać w nich wieści hiobowe. Nie patrzyli na nas. Wzrok mieli wbity w ziemię. Usta ściągnięte. Szli krokiem powolnym, pełnym namysłu. Kpt. M. zatrzymał się przy zebranym baonie, kpt. Z. przeszedł obok nas, jakby w śnie somnambulicznym. Patrzałem za nim. Chciałem mu zameldować stan baonu: 241 ludzi razem z oficerami . . . Ale trudno mu było przerywać ostatnie chwile namysłu. Przez dłuższą chwilę stał w oddali odwrócony od nas plecami. Dopiero, gdy zauważyłem, że jak gdyby się ocknął z tego głębokiego zastanowienia się, podszedłem do niego i zameldowałem, że baon jest na zbiórce. Drgnął, jak gdyby teraz dopiero go zauważył. Zbliżył się do niego i kazał zebranym żołnierzom skupić się dokoła siebie.

Zapanowała grobowa cisza. Wszyscy stali, jak wryci. Pamiętam jeszcze dziś ten wyraz twarzy żołnierzy: wzrok, jak ludzi w gorączce, utkiwony w oczy swego dowódcy, rozgorączkowany, ale nieruchomy, wyraz twarzy poważny, smutny, postawa żołnierska—niemal na baczność.

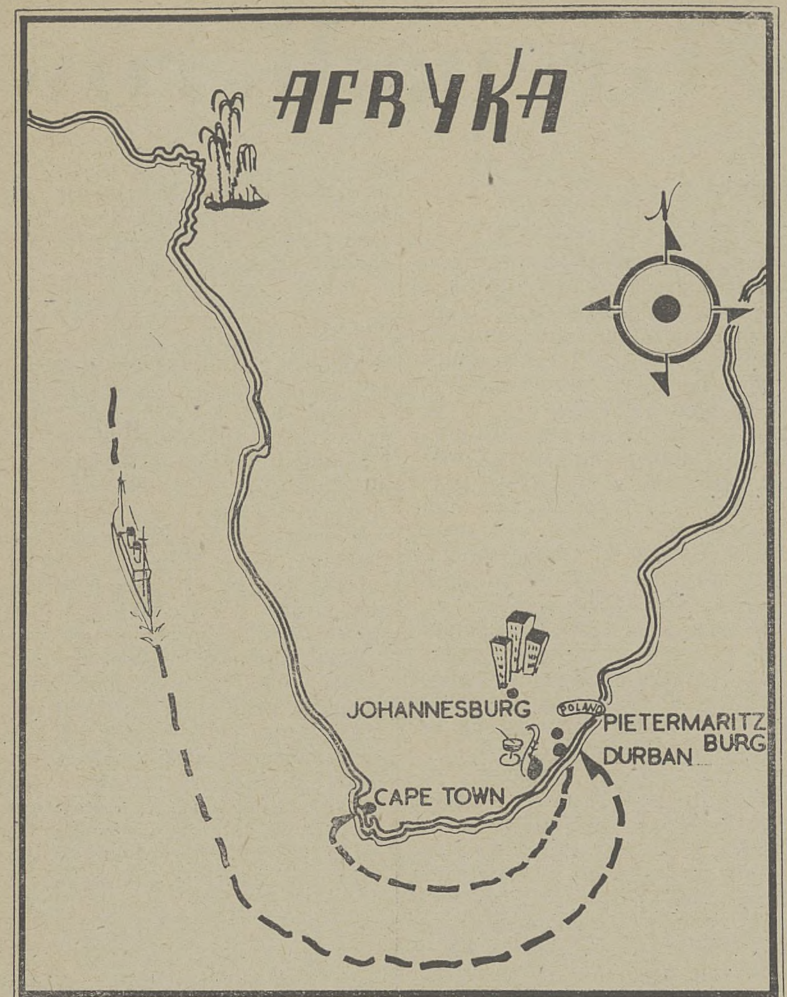
Poczęły padać w tę gromadę żołnierską słowa kpt. Z., w których stwierdzał, że po raz pierwszy w życiu spełnić musi tego rodzaju smutny obowiązek żołnierski zawiadomienia nas, że dywizja zostaje rozwiązana; dywizja bowiem nasza razem z armią francuską, do której była wcielona, została otoczona ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela; obowiązkiem każdego żołnierza jest próbować wydostać się z zamkniętego pierścienia wojsk niemieckich; kierunek ucieczki jest ustalony rozkazem Naczelnego Wodza na Szwajcarię lub na południowy zachód Francji. Na zakończenie dorzucił kilka słów serdecznego pożegnania i dał wyraz nadziei, że mimo bardzo trudnych warunków spotkamy się w dalszej walce o niepodległość Ojczyzny.

Gdy skończył mówić, baon drgnął, jak gdyby w krąg, który tworzył, ktoś puścił prąd elektryczny o silnym napięciu. Była to drgawka przedśmiertna. Został być może jego mocny duch żołnierski, duch serdecznego, zadzierżgniętego na całe życie koleżeństwa, ale batalion jako jednostka organizacyjna odbudowanego na obczyźnie wojska polskiego przestał istnieć. Rozbił się szybko na grupy, grupeczki, a nawet poszczególne jednostki.

Ruszyliśmy na południe.

STANISŁAW J. PAPROCKI

HUBERT IN WONDERLAND



Baboo N'Jai szarpie namiętnie moskiterę i ciągnie mnie za ramię z desperacją, bo stanowczo nie mogę się obudzić.

—"*Master*! — *Hurry, hurry . . . Master*! !"

Podnoszę wreszcie głowę, której waga jest ściśle proporcjonalna do wczorajszej *party* i otwieram oczy. Baboo wytrenowany przez rok wiernej służby, momentalnie pcha mi do ust papierosa i przypieka nos zapałką, jak zawsze niby przez niezręczność, ale celowo, by mnie szybciej obudzić. Przez otwarte drzwi domku widzę, że noc jest głucha, księżyc świeci w najlepsze i do świtu daleko. W mętnym blasku naftowej lampy zaczynam łowić zegarek: trzecia rano!

Pełna świadomość wraca błyskawicznie: oczywiście rzeczy spakowane, ekwipunek i *Tommy-gun* wisi pod ręką. Trzeba się śpieszyć. Gorączkowo wciągam buty, a widząc, że Baboo wbrew ustalonym zwyczajom nie zwija łóżka, wołam z wyrzutem:

—"*Baboo — hurry, alarm*!"

No bo pocóż innego budziłby mnie tak wcześnie . . . Ale Baboo aż przysiada na piętach, tak się śmieje:

—"*Master no alarm to-day*! *it be leave*! !"

Urlop!

Teraz i ja siadam na ziemi, w na pół nawiniętych owijaczach — i śmieję się jeszcze szczerzej i radośniej, niż mój *small boy*. Już nie tylko świadomość, ale i pamięć wraca mi całkowicie: jadę na urlop, jedyny na 18 miesięcy urlop, na który każdy czeka z utęsknieniem i dnie liczy — a cała ta nieprawdopodobnie szczęśliwa historia zaczęła się zaledwie wczoraj.

Wyciągnęli mnie z kompanii do adiutanta. Szedłem skwaszony, bo cóż dobrego można się spodziewać po rozmowie z adiutantem? Jack grzebał w papierach, jak zwykle, by mi dać czas do odbycia całego ceremoniału przycupnięcia, wkładania trzcinki pod pachę i salutowania. A potem zaczął typową, złowróżbną serię:

—"*Err . . . um . . . you see . . .*" — i raptem, już z uśmiechem szybko dokończył: — "jedziesz jutro na urlop do Południowej Afryki. Papiery są gotowe. Lepiej zacznij się pakować, byś był gotów na szóstą rano."

Gdybyż wszystkie marzenia mogły się tak prosto urzeczywistniać. Pracowaliśmy z Baboo w pocie czoła przez całe popołudnie, żeby się należycie spakować i mieć wolny wieczór, bo właśnie tego dnia Batalion przeżywał niebywałą sensację: koncert ENSY. Trzeba było jeszcze wpaść do kompanii, gdzie murzyniaki wiedziały już z szybkobieżnej plotki, że jadę na urlop. Sierżant-major pokazuje nieskomplikowane *Ju-Ju*, zawieszone w magazynie:

—"*It be for your safe voyah — Sahr*!"

W czarnych móżdżkach urlop — to pora na inwestycję oszczędzonego żołdu w nową żonę, jedyną dobrze procentującą i przyjemną lokatę kapitału. A *white masters* mając *plenty too much* pieniędzy — pocóż by innego jechali na urlop?

Ale wróćmy do ENSY, tej przyrodniej, choć mniej udanej siostry "Lwowskiej Fali," która na pociechę wojsk wysyła swe zespoły nawet tu — raz na rok mniej więcej. Ta trupa, która dawała koncert w mój szczęśliwy, urlopowy dzień, posiadała jeszcze jedną atrakcję: artystki. C.O. odstąpił paniom własny domek, w którego pobliżu grupka murzynów budowała jakąś bardzo przemyślną chatkę z palmowych liści opatrzoną potem niebywałym w tych stronach napisem: "*Ladies only*" . . . Wieczorem przy kolacji, cywilne ubrania artystów i białe sukienki pań po raz pierwszy w dziejach naszej messy przerwały monotonność płowego odzienia khaki.

Koncert był naprawdę udany. Byłby niewątpliwie jeszcze lepszy, bardziej oceniony, gdyby wspaniała para opalonych nóg nie pochłaniała całkowitej uwagi audytorium, gdy ich właścicielka koncertowała na akordeonie, lub gdyby wesołe piosenki jej towarzyszki nie zaćmiły huraganowymi wybuchami śmiechu atrakcyjnych numerów panów.

Party, będąca naturalnym następstwem tak mile zaczętego wieczoru, zamieniła się w prawdziwy bal. Opalone nogi potrafiły nawet znaleźć partnera do szalonego *jitter-bug'a*, co wywołało wielce rozmarzone komentarze, a odtańczeniem oberka z przyklękaniem ściągnęły na siebie huraganowy ogień pytań:

—"*When were you in Scotland*?!"

Gdy na "pobojowisku" zostały już tylko panie i Polacy, a przy konającym fortepianie maleńka grupka niedobitków wciąż jeszcze śpiewała angielskie ballady pod akompaniament tang Golda wygrywanych przez naszego kawalerzystę — było tak późno, że nic dziwnego, iż Baboo nie mógł się mnie dobudzić przed świtem.

* * *

Motorówka, na którą przeładowałem się z auta o wschodzie słońca tnie brunatne wody rzeki, znacząc za sobą prostą, pienistą linię — ostatni łącznik z *bushem*. Chłodne powietrze świtu niesie jeszcze wyraźny odgłos trąbki, wplątujący się w stukot motoru: to moja kompania wychodzi z obozu na długi, daleki patrol.

Z pokładu okrętu, co podnosi kotwicę u ujścia rzeki, Baboo, wymachujący ostatnie pożegnania z dna motorówki, wygląda, jak mała czarna mrówka. Eskortująca korwetka ruszyła już naprzód i powiewa barwną girlandą flag sygnałowych. Leciutko, rytmicznie drgnęły pod stopami deski pokładu ożywione pulsem maszyn.

Zacząłem urlop.

* * *

Pod "Lwem i Palmą" gin płynie stałym, równym strumieniem przez cały dzień i paruje w dźwięku wyszczerbionych szklanek, z nieheblowanych blatów mahoniowych stołów w duszne, błękitne od dymu powietrze. Za oknami deszcz przesłania świat płynną, jednolitą kurtyną, która nieoczekiwanie, nieregularnie podnosi się raptownie, ukazując wielkie miasto wspinające się na wysokie, pokryte skłębioną zielonością góry — miasto murzyńskich domów i wojskowych baraków. Słońce, jakby czekając tylko na przerwę w deszczu, ukazuje się momentalnie w samym zenicie, lśni w gładkiej wodzie zatoki upstrzonej ciemnymi plamami zakotwiczonych statków, i podnosi duszny, biały opar z asfaltu ulic i czerwonych dróg, blaszanych dachów i zielonych gór, zamieniając świat w jedną wielką cieplarnię, parną, gorącą, pełną palm i płomiennych hibiscusów kwitnących na śmietniskach miasta.

Ale pod "Lwem i Palmą," w sercu portu i miasta, które wojna podniosła z rzędu zapomnianych, murzyńskich dziur już nie tylko do rangi wielkiego centrum Zachodniego Wybrzeża, ale nawet do tytułu Rozstaju Dróg Świata— nikt nie interesuje się przedziwnym misterium słońca i deszczu. Poprzez gwar wszystkich akcentów angielskiego języka przebija uparcie polska mowa. Bo "Lew i Palma" to karczma na rozdrożu gdzie Polska Armia, Marynarka i Lotnictwo ma swoje stałe *rendez-vous*. Oficerowie RWAAF'u w drodze na urlop czy lecąc na kursy do Nigerii muszą się tu przesiadać; marynarze z s/s . . . , który od miesięcy tłucze się po wszystkich zakątkach Zachodniego Wybrzeża lub z wielkich polskich *troopship'ów*, stałych gości tych wód mają tu swą "bazę." Lotnicy z *Transafrican Ferry* wpadają czasem z nowinami z Kairu, mieszając się z jeszcze rzadszymi gośćmi z Rosji.

—"Nie, to nie rekord — Władek z 5. Batalionu miał jedenasty atak malarii, zanim go przenieśli dla poprawy zdrowia do naszych oddziałów na Middle East."

—" . . . no oczywiście znam! Ostatni raz widziałem go w Perth, a jeszcze przed tym w Rennes. A ty go w Cape Town spotkałeś!"

—"i doliczyli się wszystkich — brakowało im 550! Ale ktoś sobie przypomniał, że jest 250 naszych na West Coast'cie i 300 w Mirandzie."

—"I dał nam ten drań, wasz saper, te jajka i nic nie mówił. W kuchni leżały gotowe na śniadanie. A rano *steward* wpada na mostek i powiada: "O rety, panie kapitanie — krokodyle się wylęgły! Słowo honoru!"

—"Weź tę książkę na drogę — oddasz pod "Lwem i Palmą," jak wrócisz."

Trzymam w ręku ładnie oprawioną książkę z zapomnianym dziś napisem "Gebethner i Wolf" i stemplem "Dar miasta "L" dla załogi s/s "L."

—"*Cheers Poland-*" — woła ktoś od baru — "*another gin*".

Za oknami gorący deszcz znów przesłonił świat, o którym każdy chce zapomnieć.

* * *

Płyną, płyną okręty w wyrównanych szeregach konwoju po gładkiej tafli Południowego Atlantyku, strzeżone najlepszym *Ju-Ju — British Navy*. Ocean jest co dnia bardziej błękitny, coraz chłodniejsze noce kuszą na pokład z gorącego, przetłoczonego wnętrza *troop-ship'u*. Woda fosforyzuje za burtą a gwiazdy — odrywając się od stropu nocy — spływają wolno po nieboskłonie, jakby czekały na wypowiedzenie życzeń.

Opływamy Przylądek Dobrej Nadziei.

Budzi mnie nienaturalna cisza w kabinie: to maszyny stanęły. Biegnę na pokład i nie mogę uwierzyć oczom. Słońce jakże różne od słońca tropików pieści łagodnym blaskiem martwy błękit laguny. Po bulwarach nabrzeża dzwonią wesoło tramwaje i hałasują taksówki. Wielkie bloki domów miasta Białych Ludzi otoczone wieńcem zielonych wzgórz, przeglądają się w wodzie portu. Durban.

W hotelu nie mogę nacieszyć się łazienką, prawdziwym telefonem, łóżkiem /bez moskitery!/ — tymi wszystkimi przedmiotami cywilizacji, o których zwolna lecz kompletnie zapomina się w *bushu*.

Ulicą płynie beztroski, wesoły tłum ludzki, wśród których czarna twarz /pięknych zresztą Zulusów/ jest wreszcie wyjątkiem. Kelner w restauracji musi się dziwić uśmiechowi dziecinnej radości, gdy patrzę na ostatnią pozycję ogromnego menu, zatytułowaną zapomnianym od dawna słowem "*ice creams*." *Shopping* zdaje się pasjonującym zajęciem nawet dla mężczyzny, gdy się przez rok nie widziało innego, niż N.A.A.F.I. sklepu, a zwłaszcza w kraju, który poza benzyną nic jeszcze nie racjonuje.

To też dopiero wieczorem zasiadłem przy telefonie, wybierając numery i nazwiska z długiej listy poleceń, jaką dostałem od bywalców w tych stronach — Rodezyjczyków z West Coast'u. Ta lista okazała się kluczem do serc gościnnych Południowo — Afrykańczyków i pierwszym ogniwem więzów szczerej przyjaźni.

* * *

W przetłoczonym świeżo przybyłym konwojem "Star Dust Club'ie," w przyćmionych na wzór durbańskiego black-outu światłach dancingowej sali, długo nie mogliśmy się doszukać naszych towarzyszek. Trudno je było poznać w bardzo kobiecych, w bardzo wieczorowych sukniach, gdy Jean widzieliśmy zawsze — w domu czy na zamiejskich eskapadach —w mundurze porucznika Armii Połdn. Afrykańskiej /z pomarańczową przepaską na naramiennikach/, a June ukazywała się zawsze w białej szacie *nurse* z czerwonym krzyżem na piersi, psując wieczory dyżurami w szpitalu wojskowym. Z nad afrykańskiej brandy z mlekiem /bardzo dobry trunek!/ dziewczyny śmieją się z naszej konfuzji i są wyraźnie zadowolone z wywartego tą przemianą wrażenia.

W tańcu kłócimy się, w której postaci muszą się czuć lepiej i naturalniej. Jean twierdzi, że w obu jednakowo i wylicza swe argumenty na szkarłatnych pazurkach, mówiąc mi dużo ciekawych szczegółów z życia południowo-afrykańskiej młodzieży, która bez względu na płeć czy zamożność rodziców, zaczyna pracować bardzo wcześnie — bardzo rzadko idąc na wyższe studia — w pędzie do uzyskania niezależności. To też dziś kobiety zastępują mężczyzn w tysiącach działów, tym lepiej, że są przyzwyczajone do poważnego traktowania pracy, że nie są *spoiled and soft*.

—"*Of course*" — dodaje Jean — "bawimy się przy tym doskonale, ale i w tym jest ziarnko pracy *for the victory*."

A widząc moje zdziwienie, dorzuca:

—"Przecież tym wszystkim chłopcom należy się trochę uśmiechu, towarzystwa, oderwania od ponurości wojny. Kto wie, co was wszystkich jutro czeka . . . I ty też, gdy wrócisz do swego *bushu* — będziesz się lepiej czuł, mając trochę pogodniejszych wspomnień, niż *tamte* trzy lata. Czyż nie?" — kończy, jakby niepewnie, bo z Polakami nigdy nic nie wiadomo, a co dopiero z *Polish bushman*!

Party wzmocniona odnalezionymi na sali spadochroniarzami ze Sekcji, co wiedzieli, gdzie trafić "najkrótszą drogą," zaraz po wylądowaniu w porcie, biegłaby niewątpliwie po zwykłych wesołych torach afrykańskiej *whoopee*, gdyby June nie zaskoczyła nas nieoczekiwaną, poważną prośbą:

—"Opowiedzcie mi coś o Vollominie!" — wyspelowała.

—"Ale dlaczego o Wołominie?" — wołamy zdziwieni.

—"*You see*, pierwszy Polak, którego spotkałam w życiu i przez dwa dni oprowadzałam po mieście był bardzo ponury. Wiem, że już pół świata objechał w tej wojnie i byłam rozczarowana, iż się zupełnie nie zachwycał Durbanem. W ostatni wieczór zabrałam go do *Athlone Gardens* na zachód słońca nad miastem. Wiecie jakie to piękne! Ale mój Polak patrzał i milczał. Nie wytrzymałam i pytam się go: "*Beautiful city — don't you think so*?" A on na to: "Oh tak, zapewne — ale to wszystko to nie to, co Vollomin!" I pierwszy raz wtedy uśmiechnął się, pięknym, pełnym uczucia uśmiechem".

June żyjąc w kraju, który jeszcze nigdy niczego nie stracił, i sama nic nie straciwszy — nawet serca, nie zrozumiałaby, jak bardzo można kochać Wołomin, jak piękny jest on we wspomnieniach, jeśli jest komuś bardzo bliski i niedosiężny zarazem. Więc po prostu mówimy jej dużo pięknych rzeczy, patrząc jak w szarych oczach wyrasta wizja imaginowanego miasta-cudu.

—"*I would love to see this Vollomin*".

—"Ale tam są teraz tylko ruiny June . . ."

Szare oczy robią się bardzo smutne, ale tylko na chwilę, bo Południowi Afrykańczycy są zawsze weseli — a *boys* potrzebują uśmiechu i rozrywki. Kto wie, co ich czeka . . . Więc i nasz wieczór był bardzo wesoły.

* * *

W pobliskim Pietermaritzburgu pełno jest jeszcze wspomnień o postoju naszych oddziałów z Rosji. Wszyscy opowiadają mi o szczęśliwych miesiącach "polskiej inwazji," o tradycyjnych trudnościach językowych, o wspaniałym zachowaniu się żołnierzy, dyscyplinie, o koncertach, meczach, defiladach. Wszyscy żałują, że wyjechali.

—"Czy nie będzie nowych transportów?" — pytają się mnie nieznajomi ludzie, widząc "Poland" na ramieniu. — "Odżywilibyśmy ich trochę, rozerwali — pamiętajcie, że wasi żołnierze są zawsze *welcome*."

A że Polacy wędrują po świecie z karabinem w ręku i strzałą Amora za pazuchą, więc nie zdziwiłem się opowiadaniom o naszych chłopcach, co potracili tu serca, pozaręczali się — a czasem i zdążyli ożenić. Dobrze im być musiało w tym cichym mieście zagubionym wśród zielonych wzgórz Natalu a wspomnienie Pietermaritzburga pozostanie w pamięci naszych żołnierzy pierwszym jasnym, słonecznym obrazem na ponurym tle rosyjskich przeżyć.

* * *

W Johannesburgu — mieście amerykańskich drapaczy nieba i białych hałd kopalń złota — urlopowicze R.W.A.A.F.'u, bez względu na narodowość, mają swe *rendez-vous* w *Officers Club'ie*. Klub opiekuje się nami i organizuje pobyt z tak nienatrętną i wnikliwą gościnnością, że prawie wszyscy spędzają tu większość urlopu, a Polacy są na prawach istnych benjaminków.

—"Jedziesz z nami do Wodospadów Wiktorii? *Sleeping* darmo obie Rodezje — skrawek Kalahari . . ." — namawia Polak-niepoprawny turysta — piegowatego Szkota.

—"Nie, bo tam jest *bush*. A przez te sześć tygodni nie chcę widzieć krzaków. I dlatego też nie chodzę na dancingi do *Orange Grove Hotelu*, bo wydekorowali salę papierowymi palmami."

Polacy rozrywani są przez wielką dawno osiadłą kolonię polskich Żydów; sypią się zaproszenia od tych gościnnych ludzi i do późnej nocy płyną rozmowy, pełne wspomnień o Słucku, Łodzi, Warszawie i Będzinie.

W podmiejskiej willi moich nowych południowo-afrykańskich przyjaciół, gdzie spędziłem czarujący tydzień w zapomnianej od lat domowej atmosferze, siwy pan domu, patrząc z werandy na blisko milionowe miasto, które na jego oczach i przy współudziale jego pracy wyrosło w jednym p i ę ć d z i e s i ę c i o l e c i u na pustych wzgórzach Witwatersrandu — co wieczór prowadził ze mną długie rozmowy:

—"Nie myśl, że żyjąc tak beztrosko i rozrzutnie jak południowo-afrykańskie życie musi wyglądać w twoich oczach, nie doceniamy wojny, nie rozumiemy jej grozy. Biliśmy się — i bijemy nadal na wszystkich frontach Afryki. Nasza armia jest mała, ale i nasza ludność liczy tylko dwa miliony białych. Widziałeś listy strat co dzień w gazetach? Długie są bardzo. Ale i długie są szeregi przed biurami ochotniczego zaciągu. Mamy armię bardzo młodą — może brak im przy starcie doświadczenia, ale nie brak im ducha odziedziczonego po tych, co kraj ten krwią i potem przez pokolenia budowali."

—"Nie myśl, że ta wojna nas nie dotyczy: żołnierz niemiecki w Afryce, to nasz bezpośredni wróg — każdy ruch Japonii na Pacyfiku czy Oceanie Indyjskim zagraża i nam. Wiesz, jak piękny jest nasz kraj, jak szczęśliwie żyjemy. Warto walczyć o przyszłość Południowej Afryki".

—"Nasz wkład w wojnę, to nie tylko wysiłek żołnierzy: jesteśmy bogaci — więc dajemy hojnie; mamy podostatkiem żywności — więc dzielimy się chętnie. Rozbudowaliśmy przemysł na potrzeby wojny i na potrzeby tych, co wrócą. Robimy wszystko co jest w naszej mocy, by kraj ten pozostał oazą spokoju i szczęścia dla odpoczynku tych, co go potrzebują".

—"Byliśmy szarpani wewnętrznymi tarciami syconymi pieniędzmi i propagandą Niemiec. Wojna zjednoczyła nas wewnętrznie — i z Imperium Brytyjskim — mocniej, niż wszystko inne. Los bliskiej naszym sercom Holandii i odsłonięcie maski przez Japonię przekonało ostatnich zaślepionych".

—"I jak wiesz, mamy człowieka o przedziwnej historii i przedziwnej sile, co stoi za każdym naszym wysiłkiem i ponad każdą słabością. Człowieka co umie patrzeć w przyszłość okiem młodzieńca z doświadczeniem starca. Smuts."

—"Nie myśl, że do Was Polaków — odnosimy się z sercem, ot tak z uprzejmości. My Burowie nigdy nie lubiliśmy cudzoziemców, a Anglików znasz, jak są zamknięci w sobie. I znaliśmy Was tak mało. Ale w tej wojnie pokazaliście, kim jesteście; a co potraficie opowiedzieli nam nasi chłopcy z Libii i *Battle of Britain* . . ."

Potwierdzenie tych wszystkich zdań znalazłem na każdym kroku mej parotygodniowej wędrówki po "oazie spokoju i szczęścia." Ich prawda biła z tętna życia kraju, z rozmów szczerych i prostych, toczonych z wojskiem czy cywilami, Burami czy Anglikami; ze znakomitej dwujęzycznej prasy i komunikatów B.B.C., którym armia i lotnictwo południowo-afrykańskie nie schodzi niemal nigdy z ust.

A na wszystkich etapach mego urlopu patrzyły na mnie z tysięcy plakatów będących wynikiem nie bombastycznej propagandy, lecz szczerego umiłowania — mocne, stalowe oczy marszałka Jana Chrystiana Smutsa.

* * *

Wątpię, czy jest na świecie piękniejsze portowe miasto, niż Cape Town — rozłożone szeroko na wzgórzach, wspinające się przedmieściami na skaliste stoki Stołowej Góry, kąpiące się białą plażą i mackami doków w błękitnych wodach Table Bay.

Zbyt szybko płyną jasne dni w pełnym zieleni i morza podmiejskim Sea Point. Zbyt szybko przesuwa się film dalekich wycieczek i spacerów. Zbyt szybko biegną wieczory w wesołym, gwarnym mieście, które godne swego przezwiska Tawerny Siedmiu Mórz, gości wszystkie floty i armie alianckiego świata — na krótkich postojach dalekich podróży w nieznane.

Adderley Street widziała już i polską defiladę, zna dobrze Amerykanów i psotnych Australijczyków, Greków i Belgów, Holendrów i Francuzów i wiele wiele innych mundurów, a nawet i nasze czarne wojsko R.W.A.A.F.'u. A Capetown'czycy niezmiennie od trzech lat witają wszystkich tym samym szczerym uśmiechem, otwierają serca i domy, traktując swą gościnność jako naturalną, serdeczną daninę. W południe ze starego fortu brzmi trąbka: wtedy na jedną krótką, ale jakże wymowną minutę, miasto zamiera w bezruchu i ciszy. To chwila pamięci o tych, co zginęli, o tych, co giną i cierpią.

W Boston House w bezpretensjonalnym biurze pod tarczą z Białym Orłem, pracuje bez godzin i świąt, bez urlopów i zmęczenia Konsulat R.P. Konsul choć lat nie ubywa a przybywa pracy i "Duffieldowska," której dobrą wolę i uczynność, uśmiech dla każdego, co gdzie indziej byłby tylko interesantem, długo będziemy pamiętać — otaczają wojsko serdeczną opieką i niestrudzenie służą radą i pomocą. Nie zawsze i nie wszędzie wyniosło wojsko w swej światowej turystyce serdeczne wspomnienia o naszych placówkach. Ale w Cape Town zapomnieć można nawet o Madrycie!

W tym samym, co Konsulat gmachu mieści się również blisko nas obchodzące biuro "*Imperial Movement Control*" /żartobliwie nazwane Orbisem, bo ono ładuje nas na *troop-ship'y*/ — i płatnik. Idę tam z ciężkim sercem, bo wiem, że już tylko dni albo godziny zostały mi z urlopu, a płatnik będzie smutnie kiwał głową nad książeczką płacy, z której zniknęły już ostatnie oszczędności z *bushu*.

Przeczucia zamieniają się w pewność: czeka już na mnie karta załadowania.

* * *

Księżyc dojrzały i złocisty jak ciężki plaster miodu wszedł nad pokrytymi szachownicą winnic stokami Constanti i lśniąc w gładkich taflach dwu Oceanów ćmi drgające w gorącym powietrzu dalekie światła miasta.

—"*Bushman dear*, zdradź wojskową tajemnicę: wiele ci jeszcze dni urlopu zostało?"

—"Jeden długi week-end."

Wąska dłoń odrywa się od kierownicy auta, co spływa po łagodnych serpentynach ku pachnącym ogrodom Kirstenbosh'u i dotyka mego ramienia milszym, niż słowa gestem.

—"*One long week-end . . . well*, czy byłeś kiedy w Hermanus?"

* * *

Hermanus to wielka biała plaża, co potężnym łukiem biegnie ku Przylądkowi Dobrej Nadziei. To białe domy na wzgórzach, ukryte w kwitnących ogrodach, stworzone, by mieszkało w nich szczęście. Od życia powszedniego dnia Hermanus odcięło się pasmem wysokich, sinych gór — i zapomniało o świecie.

* * *

—"*Master, how was leave*?"

To Baboo N'Jai, siedząc przy drzwiach na podłodze, jak każdy rozespany dzieciak, staje się nieznośny i nudzi pytaniami.

Urlop? To wszystko wydaje się tak dalekie i tak nierealne tu — w mej słomianej chacie, w głębokim *bushu*. Ćmy cisną się do naftowej lampy — natrętnie, jak zawsze. Gramofon w sąsiedniej kwaterze wypłakuje smutną piosenkę "*I never said thanks for that lovely week-end, those days in heaven you helped me to spend . . .*" Wieczorny powiew od rzeki szumi w zeschłych trawach.

—"*Master you get new wife*?" — ciągnie Baboo.

—"*No, and please go to hell*!"

Small boy nic już nie rozumie i kręcąc głową z politowaniem, wymyka się za drzwi.

A ja nie mogę wymknąć się wspomnieniom.

HUBERT

Unia Południowo-Afrykańska



MARSZAŁEK SMUTS
/rys. Marian Walentynowicz/

Unia Południowo-Afrykańska, w której skład wchodzą dwie niegdyś niepodległe republiki burskie: Transvaal i Orange Free State oraz dwie dawne brytyjskie kolonie samodzielne: Cape of Good Hope i Natal — jest tworem bardzo osobliwym. Rozwinął się on na podstawie rzadko w historii spotykanego kompromisu między zwycięzcami i zwyciężonymi. Wojna anglo-burska /1899-1902/ miała charakter wybitnie imperialistyczny. Sympatie całego niemal świata, a nawet znacznej części społeczeństwa angielskiego, były wówczas po stronie Burów. Lecz wkrótce po tej wojnie liberalny rząd angielski Campbell-Bannermana postępowaniem swym dowiódł, że wspaniałomyślność jest nie tylko szlachetnym gestem, ale i dobrze zrozumianym na dłuższą metę interesem. Stała się rzecz paradoksalna. Rządy w podbitym kraju objęli nie zwycięzcy, lecz zwyciężeni. Pierwszym premierem Unii Południowo-Afrykańskiej został generał Botha, jeden z bohaterów walk o niepodległość Burów, a inny bohater tej wojny generał Smuts, który do ostatniej chwili należał do najbardziej nieprzejednanych, wszedł do rządu i stał się później jednym z najlojalniejszych rzeczników imperium brytyjskiego.

Był to kompromis w najlepszym znaczeniu tego słowa. To też obu stronom przyniósł on trwałe korzyści. Niełatwo było w owym czasie patriotom burskim pójść na ugodę z Anglikami, lecz, jak wykazał późniejszy rozwój wypadków, ugoda ta nie miała nic wspólnego ze zdradą interesów narodowych i z tanim oportunizmem.

Spędziłem szereg miesięcy w Afryce Południowej w 1926 r. Kraj ten leżący poza szlakami wielkiej emigracji ze wschodu Europy, mało był znany w Polsce. Wówczas nie było tam nawet polskiej placówki konsularnej. Większość osiadłych w Afryce Południowej emigrantów żydowskich pochodziła z Litwy kowieńskiej, a był to zaledwie drobny ułamek wielkiej fali uchodźców, która przed pierwszą wojną światową płynęła ku Ameryce Północnej lub Południowej. Tam znajdowali oni swój Przylądek Dobrej Nadziei. Do afrykańskiego przylądka udawali się głównie poszukiwacze złota i diamentów, element bardziej ryzykujący i awanturniczy.

Afryka Południowa jest nie tylko nowoczesnym Eldoradem i krajem egzotycznym. Dzisiaj trudno ją jeszcze nazwać "*white man's country*," bo ludność biała stanowi tam zaledwie 20% ogółu mieszkańców — dwa miliony Burów i Anglików na osiem milionów murzynów i innych "kolorowych." Ale kraj ten posiada warunki zarówno klimatyczne, jak i gospodarcze dla osadnictwa białych na większą skalę, a wiele przemawia za tym, że będzie on musiał w przyszłości zerwać ze swą polityką ograniczeń imigracyjnych i szerzej otworzyć bramy dla przybyszów z Europy.

Podczas pobytu mego szczególnie interesowała mnie sprawa współżycia Burów z Anglikami, których przemocy musieli ulec, zadziwiając cały świat swym męstwem i wytrwałością. Z początku wydawało się wątpliwe, by po takiej wojnie dwa narody mogły spokojnie zamieszkiwać jedno terytorium, tworzyć jedno państwo. Wraziła się ona tak głęboko w pamięć ludności, że jeszcze przed kilkunastu laty, gdy w Afryce południowej mówiło się "przed wojną" lub "po wojnie" — odnosiło się to nie do pierwszej wojny światowej, lecz do wojny anglo-burskiej.

Czy to wpływ słońca południowo-afrykańskiego, czy solidarności białych zdobywców wobec rosnącej wciąż przewagi liczebnej czarnych, czy też — co najbardziej zjawiska te tłumaczy — rozumna polityka Anglii, która nie dała odczuć Burom najmniejszego ucisku i nie tylko nie krępowała rozwoju ich własnej kultury i języka, lecz zaspakajała ambicje polityczne ich przewódców — dość, że trudno było w owym czasie zaobserwować jakieś poważniejsze tarcia między dawnymi nieprzyjaciółmi. I tak samo, jak pomniki na cześć bohaterów burskich i angielskich z wojny anglo-burskiej stanęły obok siebie na ulicach miast południowo-afrykańskich, podobnie nie przeszkadzały sobie te dwa narody, z których każdy zagospodarował się na swój sposób, nie w spokojnej wegetacji, lecz w pracy, bijącej mocnym, gorączkowym tętnem. Wspólny dorobek dobrodziejsko pokrywał niezagojone rany i łagodził wspomnienia krwawych walk.

Dwa narody, dwa języki, dwie odrębne kultury. Żadna z nich nie jest tam autochtoniczna. Nawet Zulusi, Basuto i inne szczepy murzyńskie są przybyszami z północy, bo prawowici gospodarze tego kraju to Hotentoci i Buszmeni. Lecz Burowie mieli dawniejszy od Anglików tytuł do władania tutaj. Oni to karczowali puszcze, walczyli z dzikimi plemionami, budowali drogi, zakładali miasta, oni pierwsi znaleźli ukryte w ziemi tej skarby — złoto i diamenty. Anglicy przyszli później. Stąd znacznie większe przywiązanie Burów do tego kraju, który uważają za swą jedyną ojczyznę. Anglicy, dorobiwszy się majątku wracali zazwyczaj do "*mother country*." Dla Bura Amsterdam nie jest tym, czym jest dla południowo-afrykańskiego Anglika Londyn. Coraz słabsze nici wiążą go z krajem jego przodków. Nawet językowo starają się Burowie zaakcentować swoją indywidualność narodową. Rozwinęli oni staro-holenderski dialekt, który nabrał kolorytu miejscowego i podniesiony został do godności języka narodowego, t.zw. "*afrikaans*." Jest on równouprawniony z angielskim, jako język urzędowy Unii, posiada swoją prasę i literaturę. Językiem tym mówi 56% białej ludności Unii.

Kompromis był również podstawą całej organizacji związkowej. Ma ona aż trzy główne ośrodki. Siedzibą parlamentu Unii jest Cape Town, siedzibą rządu Pretoria, a najwyższe władze sądowe znajdują się w Bloemfontein. Istotnie zrobiono wszystko, by zachować odrębności poszczególnych części Unii, nie pogłębiając jednak partykularyzmów dzielnicowych i wiążąc je w jedną całość. Przewódcami dwóch wielkich stronnictw politycznych, które na zmianę rządziły Unią, byli nie Anglicy lecz Burowie. Twórcą i leaderem jednego z nich, czysto burskiego był nieżyjący już generał Hertzog, a założycielem i leaderem *South African Party*, reprezentującej zarówno Anglików, jak i Burów — generał Smuts.

Hertzog i Smuts — to dwa bieguny myśli politycznej Burów. Obaj niegdyś razem walczyli o niepodległość swego kraju, lecz podczas gdy Smuts jest kontynuatorem polityki generała Botha, opartej na porozumieniu z żywiołem angielskim i dążącej do stworzenia czegoś w rodzaju narodowości południowo-afrykańskiej na wzór północno-amerykańskiej St. Zjednoczonych, Hertzog był narodowym republikaninem, wiernym tradycjom prezydenta Kruegera. Przez szereg lat rząd Hertzoga opierał się na koalicji z miejscową angielską *Labour Party*. Należy zaznaczyć, że z biegiem czasu narodowe linie podziału południowo-afrykańskich partyj politycznych zaczęły się zacierać. W 1934 nastąpiła fuzja partii Hertzoga z partią Smutsa i utworzenie "*United Party*" oraz wspólnego rządu z generałami Hertzogem i Smutsem na czele, który, trwał aż do wybuchu wojny obecnej.

Ale w tych, zdawało by się, jak najlepiej układających się stosunkach anglo-burskich dojrzewał kryzys, który w dużym stopniu dzięki generałowi Smutsowi został szczęśliwie rozwiązany. Niemcy miały zawsze bardzo rozgałęzione stosunki i wpływy w Afryce Południowej. Sympatie germanofilskie były głęboko zakorzenione wśród starszego pokolenia Burów, a hitleryzm silnie oddziaływał na skrajne skrzydło młodych nacjonalistów burskich pod wodzą dr. Malana, który od dawna głosił hasła rasistowskie. W kraju tym żywioł niemiecki jeszcze przed tamtą wojną odgrywał dużą rolę, a po otrzymaniu przez Unię Południowo-Afrykańską mandatu na zarządzanie dawną kolonią niemiecką Deutsch West Africa ilość Niemców jeszcze się powiększyła. Agitacja nazistowska natrafiła tam na wdzięczny grunt. Wysłannicy Berlina umiejętnie wyzyskiwali nastroje antybrytyjskie, antysemickie, antyimigracyjne znacznego odłamu farmerów burskich pod pretekstem obrony ich interesów przeciw zachłanności międzynarodowego kapitału, inwestowanego w kopalniach złota i diamentów.

Generał Hertzog usiłował łagodzić te antagonizmy, lecz jak to zwykle bywa, skrajne żywioły brały górę nad prądami umiarkowanymi. W łonie jego stronnictwa zaczęły się tworzyć mniejsze grupy o charakterze wyraźnie nazistowskim, jak n.p. grupa b. ministra obrony krajowej Pirowa, który przed wojną jeździł do Berlina i otwarcie występował za najściślejszą współpracą z Trzecią Rzeszą. Daje to pojęcie o trudnościach, z jakimi musiał walczyć generał Smuts.

Po wybuchu wojny w rządzie powstał rozłam. Generał Hertzog starał się utrzymać neutralność Unii Południowo-Afrykańskiej, na wzór Irlandii. Tylko jeden głos większości w rządzie i 13 głosów w parlamencie związkowym zadecydowały o przystąpieniu Afryki Południowej do wojny. Gabinet Hertzoga podał się do dymisji i generał Smuts objął rządy. *United Party* rozbiła się i część jej przeszła do opozycji przeciw obecnemu rządowi Smutsa. Przed wyborami w lipcu bieżącego roku blok rządowy liczył zaledwie 20 głosów większości. Wybory te były triumfem gen. Smutsa. Opozycja nacjonalistów burskich z pod znaku Malana, Pirowa i Havengi poniosła dotkliwą klęskę. Olbrzymia większość społeczeństwa burskiego zrozumiała w czasie tej wojny, że polityka skrajnie nacjonalistycznych przewódców była fatalnym błędem i że generał Smuts uratował kraj od jej nieszczęsnych skutków.

Unia Południowo-Afrykańska niemało przyczyniła się do wysiłku wojennego imperium brytyjskiego. Jej siły zbrojne liczą dzisiaj 300,000 ludzi. Rozbudowała ona własny przemysł wojenny. Burowie z tą samą ochotą co Anglicy, Kanadyjczycy i Australijczycy zgłosili się masowo pod broń. Wojska jej brały wybitny udział w kampaniach: abisyńskiej i libijskiej i walczą dzielnie na wielu frontach, zarówno na lądzie, jak i w powietrzu.

Generał Smuts, szef rządu i głównodowodzący południowo-afrykańskich sił zbrojnych, uważany jest przez swych rodaków niemal za męża opatrznościowego. Jego popularność i autorytet wzrosły jeszcze bardziej podczas tej wojny nie tylko we własnym kraju, lecz i w całym cywilizowanym świecie.

Pamiętam dokładnie rozmowę z generałem Smutsem w Cape Town. Było to nazajutrz po przewrocie majowym w Warszawie. Uderzyła mnie jego znajomość spraw polskich. Doskonale orientował się we wszelkich szczegółach sytuacji wewnętrznej Polski owego okresu. Znał osobiście wielu polityków polskich, z którymi spotykał się na konferencji pokojowej, a później w Genewie.

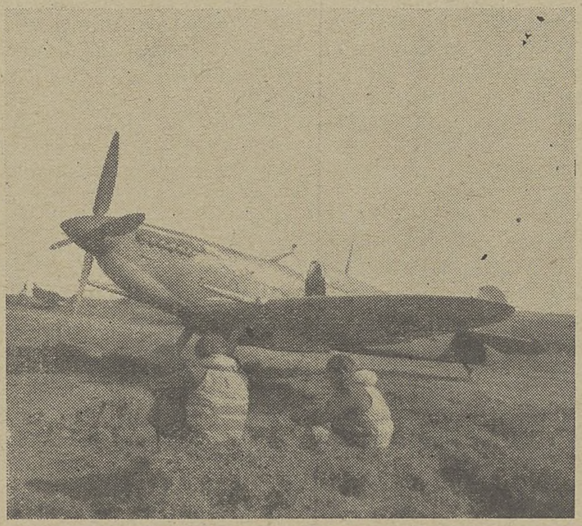
General Smuts był jednym z inicjatorów Ligi Narodów. Jego memorandum p.t. "*League of Nations — a practical suggestion*," poparte przez Wilsona i Lloyd George'a, zawierało w ogólnym zarysie projekt, który stał się podstawą paktu Ligi. Nie należy on do marzycieli, bujających w obłokach. Posiada umysł na wskróś praktyczny i konstruktywny. Przy całym swym uczuciowym liberalizmie i kulcie demokracji, której był zawsze niestrudzonym szermierzem, generał Smuts jest przede wszystkim człowiekiem czynu, realistą politycznym w najlepszym znaczeniu tego słowa. Ten właśnie jego dalekowidzący realizm nie tylko w odniesieniu do zagadnień własnego kraju, lecz i do wielkich zagadnień międzynarodowych, sprawił, iż generał Smuts znalazł się już po tamtej wojnie wśród elity mężów stanu zwycięskiej koalicji i że dzisiaj z głosem jego tak bardzo się liczą i tak żywo porusza on opinię krajów Sprzymierzonych.

FLORIAN SOKOŁÓW

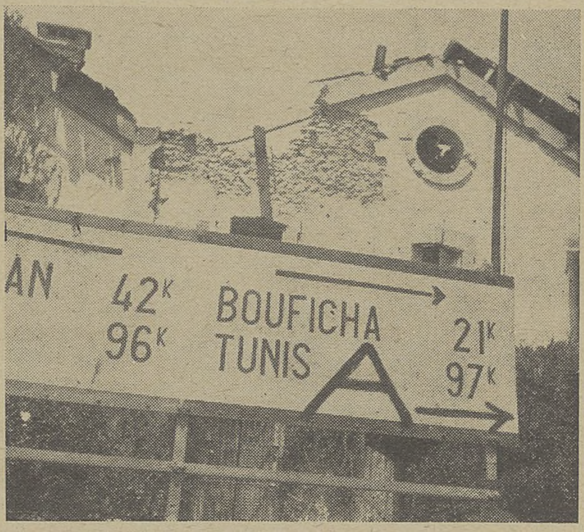
"Cyrk Skalskiego"



Major Skalski w "stroju" tunetańskim



Pogotowie bojowe "cyrku"



Tablica wskazująca drogę do lotniska



Pobojowisko maszyn niemieckich

Naczelny Wódz udekorował ostatnio majora pilota Stanisława Skalskiego Złotym Krzyżem "Virtuti Militari". W związku z tym zamieszczamy artykuł Zygmunta Lityńskiego, który jako korespondent wojenny spędził w zeszłym roku ze Skalskim i jego zespołem myśliwskim jakiś czas na lotniskach frontowych w Tunisie.

Red.

Anglikom trudno zaimponować, a przecież nie mogli wytrzymać. Kiedy "Cyrk Skalskiego" wracał do Hergli z gościnnych występów nad Tunisem, Bizertą, Pantellerią czy Cap Bon, rzucali karty, zapominali o herbacie, i wszystko wybiegało przed namioty. Głowy pochylały się odruchowo, gdy maszyny przelatywały nad obozem jak burza, skrzydło w skrzydło, jak na paradzie, znikały na moment z oczu nisko na szaro zielonym skraju horyzontu, by pojawić się po chwili wysoko na niebie we wspaniałym wirażu, ustawione niby wachlarz, i usiąść minutę później w chmurze złotego pyłu. Nawet gruby kapral Webb, wielki specjalista od lotnictwa, gdyż jako kucharz dywizjonowy karmił pilotów od pierwszego dnia wojny, pozwalał wówczas muchom spacerować po nosie, i mruczał coś co brzmiało, jak "*bloody Poles*".

Tymczasem oni, z gołymi głowami i mae-westkami pod pachą, maszerowali do "*operation*", gdzie Południowo-Afrykańczyk "*spy*" /dywizjonowy dwójkarz/ czekał na ich sprawozdanie bojowe. Po drodze "Łysy" beształ Eugeniusza, nie za to, broń Boże, że naknocił coś w powietrzu, ale za to, że licytował szlemika w bez atu, mając prawo grać co najwyżej jednego trefla. Wacek rozmyślał głośno, czy dadzą wieczorem gin, czy nie dadzą. Kiedy po złożeniu meldunków wrócili do messy, czterech zasiadło natychmiast do stołu, karty rozdane przed lotem wyciągali gotowe z kieszeni, i Eugeniusz, nie zważając na pełne wyrzutu spojrzenie "Łysego", zapowiadał z ręki: "Cztery — bez atu".

* * *

Mało jednostek może się poszczycić historią bojową, bogatszą od historii Skalskiego i jego czternastu kolegów. Kiedy z początkiem marca 1943 przybyli do Tunisu, w sumie mieli już za sobą ok. 3.000 godzin lotów operacyjnych. Prawie każdy z nich brał udział w Kampanii Wrześniowej a każdy w *Battle of Britain*. Siedmiu z nich było już przynajmniej raz zestrzelonych. Sami zestrzelili ogółem 54 samoloty nieprzyjacielskie na pewno, 16 prawdopodobnie a 10 uszkodzili. Po 50 dniach walk w Afryce cyfry te podnieśli do 79 maszyn zestrzelonych na pewno, 19 prawdopodobnie i 19 uszkodzonych, tracąc tylko jeden samolot. Już wówczas dzielili między sobą: 3 "Virtuti Militari", 33 Krzyże Walecznych, 1 D.F.C. *and bar*, 1 D.F.C. i 1 "*Croix de guerre avec palme*".

A oto obecny osobisty rekord 28-letniego majora Skalskiego. Zwycięstwa: 16 samolotów nieprzyjacielskich zestrzelonych na pewno, 2 prawdopodobnie, 4 uszkodzone. Odznaczenia: złoty i srebrny Krzyż "Virtuti Militari", 4 Krzyże Walecznych, D.F.C. z dwoma okuciami. Sam był dwukrotnie zestrzelony, przy czym raz odniósł ciężkie rany. Jako zwyczajny pilot, potem dowódca eskadry, dywizjonu polskiego i brytyjskiego a obecnie skrzydła polskich myśliwców, wykonał 190 lotów bojowych i 21 operacyjnych.

* * *

"Cyrk Skalskiego" wywędrował w zeszłym roku do Afryki, ponieważ — jak mi Skalski powiedział — "znudziło się nam latać tygodniami całymi nad Francją, nie widząc ani jednego Niemca". Skarżyli mi się potem, że i w Tunisie "trzeba mieć dużo szczęścia, aby Niemca spotkać". Jeżeli mimo to potrafili w ciągu kampanii zestrzelić co drugi dzień jedną maszynę, to osiągnęli to dzięki nieprawdopodobnym sztuczkom.

Przysłuchiwałem się nieraz w messie ich długim naradom, jak to postanawiali, że Eugeniusz "pójdzie nad Pantellerię na wabia", bo ma ich już 8, a Bronek, Marcin i "Zośka", którzy mają tylko po 2, zostaną nad morzem i zjadą potem z góry. Pamiętam jak zmartwiony był Mieczysław, kiedy, aby uczcić wiadomość, że mu się syn urodził w Ashington, musiał zestrzelić Włocha, bo żaden Niemiec nie chciał się nawinąć.

Ze Skalskim "odbyłem" w Tunisie jeden z moich najbardziej denerwujących lotów bojowych. "Odbyłem" — w cudzysłowie, ponieważ Skalski latał a ja denerwowałem się, siedząc w fotelu w namiocie "*operation*", przy stole, na którym stał głośnik radiowy. Jak wiadomo podczas lotów bojowych istnieje łączność radiowa pomiędzy poszczególnymi pilotami w powietrzu oraz między pilotami i t.zw. "*ground control*" na ziemi. Wszystkie rozmowy mogą być słyszane przez głośnik w "*operation*".

Tego dnia startowały 4 maszyny polskie pod dowództwem Skalskiego i 4 brytyjskie pod dowództwem sławnego Lance Wade'a, Amerykanina w służbie R.A.F.'u, rekordzisty w Afryce z 25 samolotami nieprzyjacielskimi zestrzelonymi na pewno. Sensację wśród Anglików na lotnisku wzbudzało, że w czwórce Skalskiego wybierał się szukać guza pułkownik z trzema rzędami orderów, obecny dowódca Polskich Sił Lotniczych, generał /ówcześnie pułkownik/ Iżycki.

Wystartowali i z początku nic nie było słychać prócz paru lakonicznych słów komendy. Aż nagle, po jakich 15 minutach usłyszałem:

—Halo Maria, Francis woła! Dwanaście plus bandytów po waszej prawej ręce.

Ładna historia, pomyślałem, widząc w wyobraźni dwunastu i to z plusem bandytów rzucających się na naszych czterech cichych bohaterów, hen w przestworzach, 20.000 stóp nad ziejącym ogniem Tunisem. Po długim przejmującym milczeniu usłyszałem ponownie:

—Halo Maria, Francis woła! Pełno bandytów po waszej lewej ręce.

Tam dwanaście, a tu pełno, jednym słowem wzięci w dwa ognie. Wyobraźnia malowała straszliwy obraz. Widziałem, jak się bronią, słyszałem świst skrzydeł i pocisków, począłem układać długą patriotyczną depeszę do Londynu. Głośnik odezwał się jeszcze raz, całkiem inaczej, z bardzo daleka, po polsku:

—Skręt w lewo.

Skręt w lewo? A zatem jeszcze jeden żyje, a właściwie nie jeden, ale dwóch, bo nie mówiłby do siebie. Jakby dla potwierdzenia tej teorii głośnik powiedział znów po polsku:

—Psiakrew.

To chyba nie pułkownik. I znów głośnik zabrzęczał. Tym razem poznałem amerykański akcent Wade'a:

—Zdaje się, że będę skakał.

Odtąd radio umilkło definitywnie.

Najpierw ukazał się jeden samolot, za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty i siódmy. Na końcu przywlókł się Wade, który nie skakał i szczęśliwie doprowadził swą maszynę postrzelaną na wszystkie strony pod sam namiot. Okazało się, że "psiakrew" powiedział jednak pułkownik, kiedy mu "Messerschmidt" uciekł sprzed nosa w chmurę, właśnie w chwili, gdy miał otworzyć ogień.

* * *

W twardym życiu pilota myśliwskiego nie wszystko kończy się równie pogodnie. Gdyby Skalski chciał dziś swój cyrk tunizyjski odtworzyć, zabrakło by mu paru dobrych kolegów: nie ma obu Mieczysławów, jeden zginął w czasie walk w Tunisie, drugi, ten który uczcił narodziny syna zestrzeleniem Włocha, już po powrocie do Anglii; zginął Władek, nie doczekawszy się spełnienia swoich planów: chciał on polatać trochę nad puszczami afrykańskimi jako *ferry pilot*. Polacy stracili też doskonałego przyjaciela i towarzysza z niejednej wyprawy: parę miesięcy temu zginął we Włoszech Lance Wade.

Kiedy wojna się skończy, Lwowianin Bronek, weteran wszystkich wielkich kampanii, będzie mógł ogłosić sensacyjną książkę o swojej przygodzie, jak to zestrzelony został nad Francją, ciężko poraniony, i mimo to nie tylko nie dostał się do niewoli, ale wrócił do Anglii, aby w lepszych warunkach skończyć kurację i oczywiście dalej latać w swoim dywizjonie.

* * *

Obecnie Skalski i wszyscy piloci z jego tunizyjskiego "cyrku" biją się i królują w powietrzu w drugiej *Battle of France*. Im to należy przypisać większość ostatnich polskich sukcesów, o których już parokrotnie wspominała prasa.

ZYGMUNT LITYŃSKI

Z tygodnia na tydzień

12 *czerwca: Wojska Sprzymierzonych zajęły Carentan w Normandii. Amerykanie nacierają na Valognes i Cherbourg. Zajęto Las Cerisy. Dalsze zacięte walki między Tilly-sur-Seulles a Caen.*

—Lotnictwo Sprzymierzonych b. silnie bombardowało lotniska i linie komunikacyjne od St. Nazaire po Lille. Głównym celem było Rennes.

—W nocy z 11/12, trzecią z rzędu, samoloty "Mosquito", bombardowały Berlin.

—Polski ciężki dywizjon bombowy bombardował cele wojskowe w Evreux w nocy 11/12, polski dywizjon myśliwski nocny wykonał loty intruderskie, a polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował wybrzeża Francji. Wszystkie samoloty powróciły z tych zadań.

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały patrolowanie i bombardowały wojska npla na drogach. W czasie tych działań Polacy zestrzelili cztery F.W.-190. Wszyscy piloci polscy powrócili.

Od 6 — 12 czerwca br. piloci polscy w czasie walk nad Francją strącili na pewno 22 samoloty nieprzyjacielskie, 7 prawdopodobnie, 1 uszkodzili.

—W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły na froncie fińskim: Kivennapa i Rajvala.

13 *czerwca: Sprzymierzeni zajęli Balleroy i Troarn. Zacięte walki w rej. Tilly-Caen. W rękach Sprzymierzonych znajduje się obecnie 600 — 700 mil kw. ziemi francuskiej. Amerykanie zajęli Montebourg, Le Ham, Pont l'Abbé.*

—W nocy z 12/13 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie fabryki w Gelsenkirchen i Kolonii.

—W nocy z 12/13 polski ciężki dywizjon bombowy uczestniczył w nalocie na Gelsenkirchen. Trzy załogi polskie nie powróciły. Tej samej nocy polski lekki dywizjon bombowy bombardował sieć komunikacyjną nieprzyjaciela w krajach okupowanych /jedna załoga nie powróciła/, a polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował wybrzeża Francji /wszystkie załogi powróciły/.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyładowanie wojsk we Francji. W czasie tych działań jeden z pilotów polskich zestrzelił F.W.-190.

—Komunikat Sztabu N.W. ujawnił, że w działaniach inwazyjnych biorą udział następujące okręty polskie: "Dragon", "Błyskawica", "Piorun", Ślązak", "Krakowiak".

—We Włoszech Sprzymierzeni zajęli m.in. Popoli.

—W nocy z 12/13 lotnictwo sowieckie bombardowało Białystok, Pińsk, Brześć nad Bugiem.

14 *czerwca: W Normandii kontrataki niemieckie zostały odparte. Walki toczą się na płd. zach. od Caen, w rej. Caumont-Villers Bocage oraz na wsch. od Caen w rej. Troarn. Niemcy odbili Montebourg.*

—Komunikat nr. 18 "SHAEF" doniósł o zwycięskiej walce O.R.P. "Piorun" i H.M.S. "Ashanti" z siedmioma trawlerami niemieckimi. Trzy z nich zostały zatopione.

—W nocy z 13/14 lotnictwo brytyjskie z baz włoskich bombardowało silnie Monachium.

—Za dnia lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Le Havre, a lotnictwo amerykańskie bombardowało b. silnie cele w Niemczech, Francji, Belgii i Holandii.

—W nocy z 13/14 polski dywizjon bombowy lekki bombardował cele wojskowe na terenach okupowanych przez nieprzyjaciela. Polski dywizjon obrony wybrzeża tej samej nocy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły z tych zadań.

—Wojska Sprzymierzonych zajęły we Włoszech: Narni i Baguoregio. Opór niemiecki wzrasta.

—W nocy z 13/14 lotnictwo sowieckie bombardowało Białystok, Baranowicze i Łuniniec.

—Rząd Polski uznał francuski Komitet Narodowy jako tymczasowy Rząd Francuski.

15 *czerwca: W Normandii walki toczą się na zachód i płn. zach. od Carentan. Amerykanie zajęli Reigneville i Quineville. Walki w rej. Caumont-Villers Bocage.*

—W nocy z 14/15 polski ciężki dywizjon bombowy bombardował razem z lotnictwem brytyjskim Le Havre. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Bombowce amerykańskie bombardowały Tokio.

—Wojska Sprzymierzonych zajęły we Włoszech Orvietone.

—W obecności Naczelnego Wodza, przedstawiciela Rządu i delegata Kraju Prezydent R.P. wręczył Oddziałom Spadochronowym chorągiew, ofiarowaną przez kobiety warszawskie.

—Premier St. Mikołajczyk powrócił do Anglii ze Stanów Zjednoczonych.

16 *czerwca: W nocy z 15/16 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Boulogne.*

—W nocy z 15/16 Niemcy bombardowali Anglię południową samolotami bez pilota.

—Wojska amerykańskie zajęły w Normandii St. Sauveur. Walki toczą się głównie na półwyspie cherbourgskim.

—Sprzymierzeni zajęli we Włoszech Terni i Grosseto.

17 *czerwca: Wojska Sprzymierzonych w Normandii posunęły się w głąb lądu.*

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało silnie okolice Boulogne i Calais.

—Wojska francuskie lądowały na Elbie. Niemcy stawiają zacięty opór.

18 *czerwca: Wojska amerykańskie zajęły Carteret i Barneville, odcinając w ten sposób Cherbourg od południa.*

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało za dnia Pas de Calais.

—Lotnictwo amerykańskie b. silnie bombardowało za dnia północno-zachodnie Niemcy.

—Wojska sowieckie przełamały Linie Mannerheima.

Bez blackoutu

Kongres Polonii Amerykańskiej w Buffalo zakończył swoje obrady wydaniem orędzia-apelu skierowanego do całego cywilizowanego świata. Apel ten ukazał się w dniu Święta Poległych /Memorial Day/:

"Przesyłamy to orędzie Rządowi polskiemu, jedynemu legalnemu i konstytucyjnemu rządowi, reprezentującemu Polskę; Polakom w Kraju, który stał się znowu polem bitew o wspólną sprawę cywilizacji chrześcijańskiej; walecznemu Żołnierzowi Polskich Sił Zbrojnych; naszym synom walczącym w Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, i Wojskom Zjednoczonych Narodów . . ."

"Polska Walcząca" jako pismo będące wyrazicielem myśli i uczuć żołnierskich, głęboko przejęta treścią niezapomnianego orędzia, potwierdza w imieniu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych odbiór każdego słowa apelu. Nigdy nie zapomnimy tych zdań, Rodacy z Polonii Amerykańskiej, które wypowiedzieliście odważnie i stanowczo w owym bardzo trudnym roku 1944:

"Pragniemy przypomnieć światu, że w dniu 1 września 1939, kiedy barbarzyńcy niemieccy dokonali najazdu na Polskę jedna tylko sprawa zajęła uwagę wszystkich. Cały świat stanął pod bronią, ponieważ granice jednego państwa zostały pogwałcone przez inne państwo. Czwarty rozbiór Polski, dokonany przez jakiekolwiek inne państwo byłby niebezpieczeństwem dla pokoju i będzie zmierzał do poderwania wpływu moralnego i odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych . . ."

" . . . Naród polski nigdy nie zgodzi się na roszczenia Rosji lub na zawładnięcie siłą ziemiami. Naród polski będzie ciągle przypominał to zobowiązanie Karty Atlantyckiej a my Amerykanie staniemy po ich stronie, ponieważ Karta Atlantycka to odpowiedzialność moralna Ameryki wobec ludzkości. Każde usiłowanie wyrzeczenia się Karty Atlantyckiej jest uderzeniem w jedność narodu".

" . . . Odwołujemy się uroczyście do obywateli amerykańskich i do obywateli wszystkich cywilizowanych krajów, aby przystąpili do sprawy zbiorowego bezpieczeństwa Polski. Jest to probierz międzynarodowej moralności".

Zapewniamy Was, Rodacy w imieniu żołnierza polskiego, że tak jak podczas trwania Waszych obrad nikt gorliwiej od niego nie wczytywał się w telegramy z Buffalo, szukając w nich odbicia własnych myśli i uczuć, tak samo nikt silniej od niego nie zapamięta słów orędzia, którym zakończyliście Wasz Zjazd. Bo żołnierz polski, który już walczy i ten, który stoi w pogotowiu bojowym, szuka oparcia i potwierdzenia swego stanowiska w realnej, odważnej opinii polskiej.

To jest wielkie zrządzenie losu, który oddalał nas od siebie często w czasach pokoju a łączył w czas zawieruchy wojennej, że właśnie głos takiej opinii odezwał się na terenie Polonii Amerykańskiej — lojalnej wobec Stanów Zjednoczonych, ale zawsze wiernej Polsce. Semper fidelis! Zawsze wierna! Na taki przydomek zasłużyła w całej pełni w tych ciężkich dniach Polonia Amerykańska. "Semper fidelis" — to zaszczytny przydomek Lwowa, nadany mu przez króla Jana Kazimierza za wierną obronę ziemi polskiej, Chrześcijaństwa, kultury Zachodu przed wrogimi siłami. Myślę, że w czasach dzisiejszych bardzo prozaicznych, dalekich od romantyzmu powrót do tego symbolicznego przydomka i związanie go w obecnej chwili z Polonią Amerykańską ma swój głęboki sens i daje właściwy wyraz naszym uczuciom. I, jeżeli wolno nam żołnierzom, wysunąć taką sugestię — to wydaje się, że bardzo na czasie byłoby publiczne stwierdzenie przez Rząd Rzeczypospolitej i Radę Narodową, że "Polonia Amerykańska dobrze się zasłużyła Ojczyźnie".

Kresowy "naród", ludzie z polskich ziem wschodnich szczególnie czule i wiernie pamiętają dobrą, uczciwą przysługę, nic więc dziwnego, że gdy w dniu 1 czerwca zebrali się w Londynie obywatele R.P. na uroczystości urządzonej staraniem Związku Ziem Wschodnich dla oddania hołdu zdobywcom Monte Cassino — na zakończenie zebrania skierowano myśl w stronę Kongresu Polonii w Ameryce jako obrońcy słusznej sprawy:

"Głos 5 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia nie może przebrzmieć bez echa, nie może dopuścić do nowego podziału Polski. Szlakiem zmagań Kraju, Lotnictwa, Marynarki i Sił Lądowych — synowie Ziem Wschodnich dziś świeżą krwią złożyli swój podpis na Karcie Atlantyckiej pod Monte Cassino. To znów nie tylko natchnienie — to jest Czyn, to jest poświęcenie za naszą i waszą wolność we wspólnych szeregach Zjednoczonych Narodów. To nie "nadlordy" i "obszarnicy", to wszystkie warstwy społeczeństwa w swym najszerszym i najgłębszym przekroju walczą o swój kraj, o polski Lwów i Wilno, o własne ognisko, o polskie pola, lasy, naftę, złoża mineralne, o warsztat pracy, o byt, o niezależność, wolność i prawa człowieka. Nie dajcie zginąć pozostałym jeszcze przy życiu krociom deportowanych naszych rodaków i sierot w bezbrzeżnych krajach ościennych. Ufamy, że jak zawsze wesprzecie Waszym silnym ramieniem tych, co nie tracąc wiary, walczą o nasz dom".

Z wielką radością i nadzieją lepszej przyszłości powitał żołnierz polski doniosły fakt przekształcenia się zjazdu kongresowego w instytucję stałą. Kongres Polonii Amerykańskiej jako stała organizacja wytyczył sobie między innymi następujące cele na przyszłość:

Zwiększenie wysiłków celem osiągnięcia szybkiego i zupełnego zwycięstwa Stanów Zjednoczonych i Polski; popieranie wysiłków celem osiągnięcia sprawiedliwego pokoju, opartego na zasadach Karty Atlantyckiej; informowanie obywateli Stanów Zjednoczonych o historycznej roli Polski, o jej celach i potrzebach; pogłębianie współpracy demokracji amerykańskiej z demokratyczną republiką polską.

W łonie Kongresu stworzono kilka komisji m. i. komisję obrony praw Polski, kultury i oświaty polskiej, odbudowy powojennej i t.p. Założenie ideologiczne obrad Kongresu: lojalność wobec U.S.A. i miłość dla Polski nie zostało w niczym zakłócone podczas Zjazdu. Spośród głosów 2800 delegatów, którzy obradowali w Buffalo zapamiętaliśmy wiele szczerych i odważnych wypowiedzi; w szczególności jednak utkwiły nam w pamięci zdania, które powinny dotrzeć do ogółu żołnierzy polskich:

Ks. J. Duffy, biskup z Buffalo: "Jeżeli Polska zostanie pozbawiona tego, o co walczy, wówczas niewątpliwie w umysłach tych, którzy miłują sprawiedliwość a nienawidzą zła, powstanie przeświadczenie, że Narody Zjednoczone przegrały wojnę . . . Żołnierze polscy walczący na obcej ziemi i żołnierze polscy walczący w kraju są realistami w sprawie Polski. Gdy nad powalonym ciałem Polski w roku 1939 Prusacy z zachodu a Rosjanie ze wschodu podali sobie ręce, wówczas realiści żołnierze polscy zrozumieli, że muszą umierać, żeby Polska żyła".

Karol Rozmarek, Prezes Związku Narodowego Polskiego i przewodniczący Kongresu: "Społeczeństwo amerykańskie posyła dostawy wojenne do Rosji w jednym określonym celu: aby dostawy te użyte były dla pokonania naszego wspólnego wroga — Niemiec. My nie zaopatrujemy Rosji w samoloty, czołgi i amunicję z Ameryki po to, ażeby umożliwić Rosji rozczłonkowanie Polski".

Senator J. M. Mead, demokrata ze stanu New York: ". . . Tych pięć tygodni, podczas których Polacy walczyli z Niemcami w r. 1939, być może uratowały cały świat. Ci wszyscy, którzy dziś cieszą się wolnością, zaciągnęli wobec Polski trwały dług wdzięczności".

Nie trzeba dodawać, że Kongres poprzedziła w maju straszliwa nagonka z wiadomej strony, rozpętana nie tylko na masztach antenowych "Radia Kościuszki" i Z.P.P., ale także i w dwóch pismach komunistycznych, wydawanych w Detroit w języku polskim, a przemawiających jedynie w imieniu "Ligi Kościuszkowskiej". Motywy ataku były te same: "idea Kongresu jest faszystowska" /oczywiście!/ i "Kongres nie reprezentuje całości Polonii Amerykańskiej". Kampania ta przybrała na sile przed 28 maja i powtórzyła ataki w pierwszych dniach czerwca po zakończeniu obrad Kongresu. Tym samym dano nam wyraźnie do zrozumienia jak wielką wagę i znaczenie posiadał ten historyczny zjazd w Buffalo.

Nagonka przed-kongresowa, zmierzająca do rozbicia i udaremnienia obrad, spotkała się z doskonałą odprawą ze strony polskiej prasy wydawanej w Ameryce. Jako centralny organ żołnierski "Polska Walcząca" podkreślić musi z uznaniem stanowisko polskiej prasy w Stanach Zjednoczonych w tych trudnych dniach. Egzamin dziennikarski i obywatelski zdały wszystkie pisma z "Dziennikiem dla Wszystkich" /Buffalo/, "Dziennikiem Związkowym" /Chicago/ i "Ameryka-Echo" /Toledo/ na czele. "Dziennik dla Wszystkich" słusznie postawił śmiałe pytanie wszystkim grupom komunistycznym w Stanach: "Gdzie byliście wówczas, gdy Polska i Wielka Brytania same walczyły w obronie Zachodnich Demokracji i ich ideałów?"

Polonia Amerykańska na przyszłość zabezpieczyła się praktycznie. Artykuł 3 Statutu Kongresu jako instytucji stałej mówi wyraźnie: "Organizacje działające przeciwko zasadom demokracji amerykańskiej i przeciwko interesom narodu polskiego nie mogą należeć do Kongresu".

Powinniśmy przez analogię przeczyścić i nasz teren londyński! Jest czas na pewną, równie konkretną i mocną klauzulę, która objęłaby bezapelacyjnie nie tylko organizacje działające przeciw interesom narodu polskiego, ale także szkodliwych ludzi.

Jedność, której przykład dał nam Kongres w Buffalo zasługuje na szczególne podkreślenie. Prasa polska z Cleveland donosi: "Wszystkie uchwały zapadały jednogłośnie, w wypadkach spornych z łatwością osiągano kompromis".

Końcowe, cenne zdobycze kongresowe to: wyraźne zamknięcie drzwi przed ludźmi działającymi przeciw sprawie polskiej i kompromis wewnątrz naszych organizacji w wypadkach spornych.

Patrzymy na Ciebie, wierzymy w Ciebie, z wdzięcznością meldujemy łączność myśli żołnierskiej z Tobą — zawsze wierna Polsce, Polonio Amerykańska.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

"PIERWSI ŻOŁNIERZE SŁAWNI EUROPY . . ."

Do Redaktora "Polski Walczącej",

Nie mogę powstrzymać się od napisania kilku słów podziękowania za fotografie i reportaż Jerzego Bazarewskiego zamieszczony w nrze 23 "Polski Walczącej" /"Idziemy do zdobytego klasztoru"/.

Czytając przejmujący opis wrażeń odniesionych przez p. Bazarewskiego, patrząc na te — jakże wstrząsające — fotografie ilustrujące "epos bitwy o Cassino", przypomniał mi się wyjątek z "Warszawianki" Stanisława Wyspiańskiego, nabierający dziś specjalnej aktualności. Wyjątek ten zdaniem moim zasługuje na przypomnienie, dla uczczenia pamięci zdobywców Klasztoru. Chłopicki mówi w "Warszawiance":

" . . . myśmy szli wśród kul,
przez deszcz kul pod górę, pędem
a droga, jak skała wyschła od słońca;.
kurzawę nam sypie w oczy i mgłą piasku obrzuca.
a myśmy na wierzch sam w galopie dopadli,
tam! tam! skał to był wierch przepaścisty . . .
żadnemu nie ocieniła czoła myśl o zgonie.
Siła wojny, duch wojny, dzierżący sto grotów,
przemocą szedł z nami; za nami
dął nieprzeparty wichrowy huragan
potęg zwycięskich i krzyczał: Victoria . . .
Słońce nas swojem promieniem porwało
do wyżyn Sławy. Tak, byliśmy: chłopy
pierwsi żołnierze sławni Europy."

Tak, zaprawdę, zdobywcy Monte Cassino zasłużyli sobie w pełni na dumny tytuł "pierwszych żołnierzy sławnych Europy". Góra, którą — miesiącami — na próżno szturmowały najlepsze, najbardziej wyborowe, jednostki całego Imperium Brytyjskiego i Ameryki, która zdawała się niezdobyta, o której obrońcach cała prasa niemiecka, dzień w dzień, piała hymny pochwalne, zapewniając chełpliwie, iż "die Männer von Cassino" *nigdy* nie oddadzą tej pozycji — padła pod ciosami zadanymi ręką polskich żołnierzy.

Doprawdy trudno nie widzieć w tym palca Opatrzności. Zwycięstwo to urasta do wielkości symbolu.

Krew polska, która wsiąkła w zbocza wzgórza klasztornego nie może być zmarnowana. Stanowi ona bezcenny kapitał Narodu i Państwa Polskiego. I na nas wszystkich Polaków — od Głowy Państwa poczynając, a kończąc na najskromniejszym obywatelu — spadł nowy obowiązek. Zwiększenia, jeszcze bardziej, straży interesów Polski, uporczywej walki o Jej prawa — tak, by duchy naszych żołnierzy poległych pod Cassino nie zostały zawiedzione. By ofiara ich życia nie poszła na marne.

Monte Cassino stanowić winno dla wszystkich Polaków źródło natchnienia i umocnienia — podczas tych ciężkich miesięcy, jakie są przed nami — w strzeżeniu jak najgorliwszym interesów Rzeczypospolitej. Żeby nie można było kiedyś — skierować pod naszym adresem innej cytaty z tejże samej "Warszawianki":

"Orły padają z bólu, łamią się im
skrzydeł loty,
gdy je obsiadła zawiść stadem wroniem".

Stefan Żurowski

Z POWODU ROCZNICY ŚLUBÓW JASNOGÓRSKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

W maju 1941 r. czytałem następujący list z Warszawy: "Pytasz mnie, jakie były groby Pańskie w tym roku w Warszawie? Wszystkie były ładne, lecz najładniejszy był u św. Anny, w kościele polskiej młodzieży akademickiej. Z gruzów tego kościoła i z ziemi przesiąkniętej krwią bohaterskich obrońców Stolicy ludzie usypali dużo mogił i na każdej z nich zatknęli krzyż. W pośrodku był grób Chrystusa, a u góry On sam utajony w Najświętszym Sakramencie. Wszystko to robiło tak silne wrażenie, że ludzie długo wyczekiwali w kolejce, by móc wejść do kościoła i zasilić duszę nadzieją zwycięstwa i wiarą zmartwychwstania". Tyle z listu.

Ma prawdziwe powody i silne podstawy fakt, że to zespolenie narodu z Chrystusem znalazło swój szczególny wyraz właśnie w kościele polskiej młodzieży uniwersyteckiej. To młode pokolenie wychowujące się już w wolnej Ojczyźnie szukało dla siebie i dla narodu nowej idei przewodniej, twórczej myśli państwowej. Podała mu ją *magistra vitae*, historia Polski. Oto ona ujęta w rotę ślubowań Jasnogórskich w roku 1936. "Wsłuchani w mocarne głosy przeszłości naszej, wpatrzeni w świetlane obrazy chwały narodowej, wierzymy mocno, że Ojczyzna nasza miła wtedy tylko potężną i szczęśliwą będzie, gdy przy Marii i Jej Synu, jako córa najlepsza wytrwa na wieki".

Skutkiem tej mocnej wiary, płynącej z przesłanek naszej tysiącletniej historii, były śluby, które dwudziestotysięczna rzesza uniwersyteckiej młodzieży męskiej i żeńskiej złożyła na Jasnej Górze dnia 24 maja 1936 r. "Przyrzekamy przeto i ślubujemy, tak brzmi ich treść, Chrystusowi Królowi i Tobie Królowej naszej, Patronce Polskiej Młodzieży Akademickiej, że zawsze i wszędzie stać będziemy przy świętej wierze Kościoła Katolickiego w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej, że wiary naszej bronić i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym, narodowym i państwowym".

Śluby te ożywiły i spotęgowały w życiu narodu spojenie żywej wiary Chrystusowej z twórczą miłością Ojczyzny. Naród polski pobudzony i zachęcony tym przykładem podjął do Częstochowy wielkie pielgrzymki zbiorowe, by u stóp swej Pani i Królowej przyrzekać i ślubować Bogu wiarę i miłość, nie dla propagandy lub reklamy, lecz z poczucia odpowiedzialności za ducha Chrystusowego w całym swym życiu.

I tak pośpieszyli z pielgrzymką nauczyciele, wychowawcy młodego pokolenia Polski. Byli tam kolejarze, poszli kupcy i rzemieślnicy, chłopi i ziemianie, a w roku 1938 Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w liczbie stu tysięcy, pod hasłem: "Budujmy Polskę Chrystusową".

Na rok bieżący 1944 przypada dziesięciolecie inicjatywy Ślubowań Jasnogórskich. W ich piątą rocznicę /rok 1941/ Uniwersytecka Młodzież Polska rozproszona po całym świecie, powtórzyła je w kilku krajach zbiorowo, gremialnie, w sposób uroczysty, na jaki tylko pozwalały okoliczności zewnętrzne. Tak n.p. było we Francji, gdzie w Lourdes został zawieszony ryngraf cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z napisem w języku polskim i łacińskim: "Polska Młodzież Uniwersytecka na wygnaniu we Francji, wytrwała w wierze Ojców i nieustraszona w walce o wolność uciśnionej Ojczyzny". Znajduje się on tam jako świętość narodowa i dowód wierności ślubowaniom z roku 1936. Ten sam ośrodek francuski ślubował ponadto, że pierwszym krokiem zbiorowym w wolnej Ojczyźnie będzie pielgrzymka dziękczynna do Częstochowy.

Wiemy, że w Kraju tkwią głęboko w pamięci narodu śluby Jasnogórskie, że żyje ich silny duch i że on tęskni za wznowieniem pielgrzymek do Panny Świętej co broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie. Wierzymy, że chwila ta niebawem nastąpi. Tymczasem w tęsknym za nią oczekiwaniu, w ofiarnej pracy i wytrwałej walce o wolność Kraju trzeba nam te ślubowania spełniać i ponawiać, nie dla propagandy i reklamy, ale z poczucia wielkiej odpowiedzialności za prawa i ducha Chrystusowego w wyzwolonej Polsce mając to głębokie przeświadczenie, że "Ojczyzna nasza miła wtedy tylko potężną i szczęśliwą będzie, gdy przy Marii i Jej Synu jako córa najlepsza wytrwa na wieki".

Uchwałą Ogólnopolskiego Komitetu Akademickich Ślubów Jasnogórskich miały być one powtarzane co 4 lata, aby każde pokolenie akademickie mogło uczestniczyć w tym akcie. Niestety, tak w roku 1940 jak i w obecnym wojna przecięła możliwość przeprowadzenia masowych pielgrzymek i złożenia publicznego ślubowania przez całą młodzież uniwersytecką. Pozostała jednak możliwość złożyć je i ponowić prywatnie lub i zbiorowo w mniejszych lub większych grupach, możliwość przede wszystkim i absolutna konieczność realizowania ich w całym swym życiu.

Wiemy, że kraj w tym wypadku jest konsekwentny. Spełniajmy więc śluby Jasnogórskie.

X. Piotr Miczko

W SPRAWIE RYSUNKU "ATAK NA CASSINO"

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr. 22 "Polski Walczącej" z dnia 3.VI.44 r. zamieszczona została na stronie tytułowej odbitka rysunku p. Zdzisława Ruszkowskiego p.t. "Atak na Cassino".

W kompozycji centralnym niejako elementem jest postać żołnierza, zatykającego chorągiew polską na szczycie wzgórza. Nie przypisując sobie prawa do oceny rysunku z punktu widzenia kryteriów artystycznych, ośmielę się wszakże zwrócić uwagę na pewien szczegół tematyczny, a mianowicie na fakt, że, jak wynika z rozłożenia światłocieni, czerwona barwa sztandaru, zaakcentowana na odbitce ciemniejszą plamą, znalazła się w górnej jego partii, zamiast, jak to chyba powinno być — w dolnej. Daleki jestem od jakiejkolwiek przesady w ocenie skutków propagandowych tej niewątpliwej pomyłki autora, przypuszczam jednak, że skierowanie jego uwagi na to przeoczenie przyjęte będzie przez niego bez gniewu i urazy.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Adam Poręba

PODZIĘKOWANIE ZA "PACZKI OD SERCA"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Sekcja Pomocy Jeńcom Polskim Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet pragnie niniejszym wyrazić Redakcji "Polski Walczącej" gorące podziękowanie za zorganizowanie zbiórki na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

Pragniemy zapewnić Pana Redaktora, że życzenia ofiarodawców są przez nas zawsze wypełniane dokładnie.

Jesteśmy głęboko wzruszone ofiarnością naszego społeczeństwa, a specjalnie naszych żołnierzy, którzy rozumiejąc niedolę swych braci w niewoli i pragnąc ulżyć ich losowi, ślą tak szczodrze te "paczki od serca". Paczki te mają nie tylko materialną, lecz i moralną wymowę, świadcząc o więzi łączącej ich z nimi. Jak wiemy ta "paczka od serca" jest zawsze tym jasnym promykiem radości, rozpraszającym choć w części smutek i zwątpienie, zakradające się w dusze przebywających za drutami.

Korzystając z okazji pozwalamy sobie zapewnić Pana Redaktora oraz za Jego łaskawym pośrednictwem i wszystkich ofiarodawców, że zawsze całym sercem gotowe jesteśmy do wypełnienia obowiązków wobec naszych braci w niewoli.

Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet Sekcja Opieki nad Jeńcami

Przewodnicząca Zofia Katelbach
Sekretarka M. Bagińska

Dla Polaków w Rosji: £10,965

Editorial Office of "Polska Walcząca",

In memory of Mrs. Phillips, Mrs. Jones sends 10/- /ten shillings/ for Polish Children in Russia Fund. P.O. LI/55 195318.

Vic.

* * *

Bezimiennie na pomoc Polakom w Rosji sh.1.5.

* * *

£1.4.0 Nieprzyjętą wygraną od Komandora S. na pomoc Polakom w Rosji.

Leontyna Godlewska

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £1.15.5 /słownie: jeden funt, piętnaście szylingów, 5d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,965.18.8 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt pięć funtów, osiemnaście szylingów, 8d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

NA DAR NARODOWY

W załączeniu przesyłam sumę £29.6.6 /słownie: dwadzieścia dziewięć funtów, sześć szylingów i sześć pensów/ zebranych w Kadrze Mar. Woj. na Dar Narodowy.

Dowódca Kadry Mar. Woj.
T.Mi. Kmdr. por.

* * *

W załączeniu przesyłamy sh.16, jako ofiarę jednego z naszych prenumeratorów, p. K. Blachuta, na "Dar Narody 3 maja".

Pozostajemy z poważaniem

za Administrację "Myśli Polskiej"
M.

"DROGA POLSKIEGO ŻOŁNIERZA"
"POLISH SOLDIER'S JOURNEY"

W lokalu wystawowym 61, St. James's Street, W.1 została otwarta wystawa prac malarskich Adama Kossowskiego, ilustrujących drogę polskiego żołnierza z Polski — poprzez daleką Północ, Uzbegistan, Persję, Syrię, Palestynę, Afrykę — do Anglii.

Wystawa, która będzie trwać do 30 czerwca rb., otwarta jest codziennie, z wyjątkiem niedziel, od godz. 10 rano do 6 pp., w soboty od godz. 10 rano do 1 pp. Wstęp wolny.

Bogato ilustrowany katalog zawiera opis 3-letniej podróży autora.

Pen Klub Polski zaprasza na odczyt Teodora Parnickiego p.t. PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE "QUO VADIS", który odbędzie się w dn. 26 b.m. /poniedziałek/ w "Ognisku Polskim", 45, Belgrave Sq., S.W.1 o godz. 6.15. Wstęp 2/6 na Fundusz Pomocy Pisarzom w Polsce. Dla szeregowych 1/-.

DLA RANNEGO ŻOŁNIERZA

Do Wielkiej Brytanii przybywa transport rannych żołnierzy polskich, którzy brali udział w ostatniej kampanii okrywając chwałą imię Polski. Ranni żołnierze polscy znajdą na terenie Wielkiej Brytanii pomoc i opiekę lekarską. Polski Czerwony Krzyż pragnie też otoczyć rannych żołnierzy troskliwą opieką.

P.C.K. przygotowuje upominki celem rozdania ich naszym żołnierzom w szpitalach i zwraca się z gorącym apelem do Polaków na terenie Wielkiej Brytanii o nadsyłanie darów dla rannego żołnierza. Chodzi głównie o słodycze, papier listowy, słowniki kieszonkowe i samouczki angielskiego, książki, papierosy oraz drobne przedmioty codziennego użytku. Dary prosimy nadsyłać pod adresem Polskiego Czerwonego Krzyża: 34, Belgrave Sq., London, S.W.1 z adnotacją: "Dla rannego żołnierza".

W nr. 22 "P.W." w rubryce "Paczki od serca" ogłosiliśmy mylnie ofiarę pacjentów szpitala Gallowhill Hall w sumie £12.6.0 zamiast £2.6.0, co niniejszym prostujemy.

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej".

Przesyłam dla Polaków na Bliskim Wschodzie następujące książki: "Z pierwszej linii frontu", "Amazing escapes", "Stamps for all", "Linguafon for Languages", St. Mackiewicz: "Wielkanoc 1944".

Zosiński

* * *

Bezimiennie otrzymaliśmy: M. Kuncewiczowa: "Klucze". A. Drewnowska: "Czaty", L. Schweizer: "Wojna bez legendy", "Bitwa nad Wyspami Brytyjskimi", "Sprawa Polski".

* * *

J. Pietrkiewicz: "Umarli nie są bezbronni", M. Lisiewicz: "Kroniki Naroczańskie", "Wielka Brytania".

Bezimiennie

* * *

Bezimiennie: S. Ordon: "Łuna nad Warszawą", "Walki w obronie granic", Cz. Poznański: "Letter to my friends of the British Left", M. Gardner: "The Spirit of Poland", B. Wdały: "Niemcy w Polsce".

* * *

Bezimiennie: T. Lubicz: "Drugi front".

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej" w Londynie,

W tych dniach wysłałem pocztą kilka książek dla naszych żołnierzy, a mianowicie: R. Kipling: "O człowieku który chciał być królem", A. Gruszecki: "Tatarzy w Sandomierskim", Z. Michałowski: "Zmagania", F. Olechnowicz: "Prawda o Sowietach", A. Moszczeński: "Pamiętnik do historii polskiej", "Z dziejów Hajdamaczyzny", E. Dorożyńska: "Na ostatniej placówce", A. Ossendowski: "Po szerokim świecie", K. S. Bodzantowicz: "Boje polskie".

Franciszek Dembicki
254, *Diar Valez, Rosario, Argentina*

Bezimiennie: A. Serafiński "Polska w liczbach", R. Vansittart: "Czarny rejestr", Z. Bohusz-Szyszko: "Wrześniowym szlakiem", S. Ordon: "Łuna nad Warszawą", W. Sobieski: "Historia Polski", B. Prus: "Placówka".

Na "paczki od serca": £3,273

Na paczki od serca £10 /dziesięć funtów/, złożone przez personel Polskiej Stacji Bombowej i 300 Dywizjonu Bombowego, w miesiącu maju b.r. przesyła.

Ks. Kapelan Polskiej Stacji Bombowej

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Leszkowicz Antoniego, Rybiński Czesława, i B.p. Bychowski Jana, Ryszarda, którzy zginęli w wypadku lotniczym, na paczki od serca, £8 sh.8 d.11 /ośm funtów, ośm szylingów i jedenaście pensów/ przesyłają

Ochotniczki WAAF'u
Polska Stacja Bombowa

* * *

Na paczki dla jeńców £1 jako nieprzyjęte honorarium za leczenie Miss Peacock.

J.K.

* * *

W załączeniu przesyłamy czek na £2.2.0 /dwa funty, dwa szylingi/ z uprzejmą prośbą o przekazanie tej sumy na Fundusz Polskich Jeńców Wojennych.

Suma pow. została złożona w dn. 1 czerwca br. po odczycie o Polsce ks. Normana Gorenia oraz pokazie filmów polskich zorganizowanym przez Wydział Opieki nad Żołnierzem za pośrednictwem n/Placówki, w Tynecastle Church Hall, Edinburgh.

Jan K. Roehr

* * *

Enclosed sh.4 a subscription for Polish Prisoners of War Fund, from the Central Fire Station, Albert Road, Farnworth, Lancs, covering Major J. travelling expenses on the 7th June when giving a talk on Poland.

Major J. K. Z. Ja.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam Money Order na sumę £1 /słownie: jeden funt/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech. Suma ta została zebrana z wolnych datków w . . . Baonie Spad.

świetliczarka . . . Baonu Spad.
przod. B.T.

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę sh.4.6 z prośbą o zarachowanie tej kwoty na "paczki od serca" dla jeńców.

Karol Daniel Domagalski

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam Postal Order na kwotę sh.8 /osiem/ z przeznaczeniem na paczkę dla jeńca.

strz. Szu. Witold

* * *

Przesyłam na ręce redakcji Postal Order na sh.10 jako dar na paczki dla jeńców w niewoli niemieckiej — od Junaka Jana Garbowskiego.

świetliczarka

* * *

Przesyłam "bezimiennie" £1 na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Dla uczczenia pamięci ś.p. sierż. Berych Edmunda, kpr. Grochowski Czesława, sap. Michalik Adama przesyłamy M.O. na kwotę £4.13.0 z przeznaczeniem na paczki dla jeńców woj. w Niemczech.

Koledzy z . . . Plut. Komp. Sap.

* * *

Resztę pieniędzy z rozliczenia, sh.7, w imieniu ppor. Ludwika R. składam na paczki od serca.

W.L.

* * *

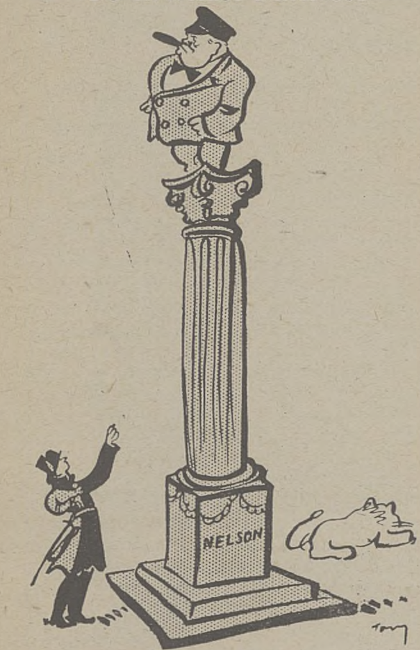
Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £29.17.5 /słownie: dwadzieścia dziewięć funtów, siedemnaście szylingów, 5d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,273.19.2 /słownie: trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt trzy funty, dziewiętnaście szylingów, 2d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

PO INWAZJI FRANCJI



Nelson: — Nie przypuszczałem, że mnie tak szybko wysadzi z pomnika . . .

O HITLERZE MÓWIĄ:

tonący torpedy się chwyta . . .

PIĘKNE STRONY PRZYSZŁEJ WOJNY

—Przyszła wojna będzie już inna — "roboty" będą walczyły, ludzie natomiast będą do zabijania . .

MAŁŻEŃSTWO W CZASIE WOJNY

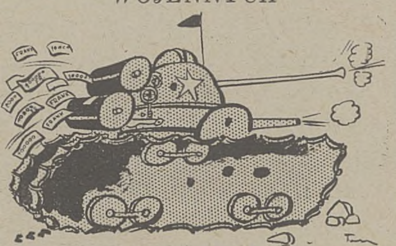
Mąż do żony: — Tylko zachowaj spokój, najdroższa. Twoja mamusia przestała warczeć, więc czekajmy na wybuch! . . .

W OCZEKIWANIU . .



"Pod dachami Paryża . . ."

Z DZIEDZINY WYNALAZKÓW WOJENNYCH



"Czołg mennica . . ."

AKTUALNE POWITANIE

—Doskonale pan wygląda, taki wyspany! Co pan na to robi?

—Śpię w "Undergroundzie" i codziennie golę się . . .

SPOSTRZEŻENIE

—Słyszał pan, że cała Luftwaffe jest na urlopie!

—Skąd pan to wie?

—Same samoloty latają! . . .

ISTOTNY POWÓD

—Rozwodzę się z moim mężem!

—Ależ dlaczego pani Halino? Jaki powód?

—Nie chciał zejść ze mną do kolejki w czasie alarmu i dlatego staram się o seperację od stołu i "Undergroundu" . . .

"ŻĄDEŁKO" POD ADRESEM AMERYKI

Anglik o Amerykanach: — Bardzo mili są ci Amerykanie, są wyjątkowo grzeczni i dobrze wychowani, tylko jak się trafi biały, to nie daj Boże! . .

ROZMOWA NA CZASIE

—No co słychać?

—W tej chwili nic — motor torpedy przestał działać!

—Więc co to oznacza?

—Że za chwilę usłyszy pan coś nowego . . .

PATENT Nr. 1

—Mam już środek na zwalczanie samolotów rakietowych!

—Co pan mówi, to wspaniale! Musi pan natychmiast opatentować ten wynalazek. Czy może mi pan zdradzić swój pomysł?

—Owszem — sól!

—? ? ?

—Sypie się sól na ogon i to wszystko! . .

O WALE

Mówią, że "Wał Atlantycki" w rękach Montgomery'ego stał się wałkiem do ciasta . . .

"MEGALOMANIA"

"Byli uczestnicy kursów" na wyspie Rothesay nie wyrażają się inaczej o swych kolegach w Londynie, jak tylko: "Ci panowie z "Drugiej Wyspy"! . . .

PO ZAINSTALOWANIU GŁOŚNIKÓW W STRATTONIE



"His master's voice . . ."

TRZY HASŁA GEN. DE GAULLE'A



MIĘDZY RODAKAMI

—Właściwie to ten Hitler nic nowego nie wymyślił z tymi torpedami. My wcześniej mieliśmy torpedy!

—Co też pan mówi! Gdzie, kiedy?

—A "lux-torpeda" Bobkowskiego Kraków — Zakopane? . . .

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

KURS KORESPONDENCYJNY

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września br.

Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej, studiującej w szkołach brytyjskich; korzystać z niego może również młodzież, znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii. Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego dostarcza uczestnikom materiału lekcyjnego z religii, języka polskiego, historii Polski i geografii Polski w zakresie gimnazjum.

W nowym roku szkolnym, 1944/45, będą prowadzone dwa kursy:

1/ dla nowozgłoszonych,

2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przerobili już materiał 1-go roku nauczania.

Za rozysyłane lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.

Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teaching by Correspondence, 61, Hillhead Street, Glasgow, W.2.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portu gal St., Kingsway, W.C.2 Registered at the G.P.O. as a newspaper.